№ 6. Warszawa, dnia 6 Lutego (25 Stycznia) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z SEJMU PRUSKIEGO.

Przy obradach nad znanym już czytelnikowi naszemu wnioskiem w sejmie pruskim przeciwko polakom zabrał głos ks. Bismark. Wywody swoje oparł on naprzód na twierdzeniach głównodowodzącego w Poznańskiem gen. Grolmanna — z r. 1832. Ów generał, którego głos ma rozstrzygać *dziś* o losie 2 milionów ludzi, pisał wówczas: „W Wielkiem Księstwie Poznańskiem znajduje się kilkaset polskich obywateli ziemskich, którzy z orszakiem krewniaków, szlachciców, wójtów, sołtysów i służących stanowią kilka tysięcy głów, będących złym pierwiastkiem prowincyi, powolne usunięcie ich byłoby wielce korzystnem, bo przejdzie jeszcze wiele pokoleń zanim ich polska natura wykształci się na obywatelską pruską."

„Ze środków — mówił dosłownie kanclerz — które chcieliśmy zastosować dla umocnienia stanowiska niemców w Poznańskiem, najbliższym był ten, którego mogliśmy użyć bez dalszej pomocy prawodawczej, przez sam rozkaz rządu, mianowicie — wygnanie... Pozbędziemy się polaków obcych, bo mamy dosyć swoich. Z niezmordowaną energią będziemy trzymali się tego środka, co do którego jesteśmy w zupełnej zgodzie z naszymi sąsiadami. I może sobie sejm niemiecki, wkraczający w prawa pruskiego, uchwalić 20 wniosków, to nas ani na włos nie zbliża w naszych postanowieniach."

Żywiołem najbardziej rozkładowym, według Bismarka, jest szlachta poznańska; przeciw niej też głównie ma być zwrócone ostrze tępiącego miecza.

„Obecnie posiada jeszcze ta szlachta polska w Wielkiem Księstwie Poznańskiem około 650,000 hektarów. Hektar dominiów królewskich w obwodzie poznańskiem przynosi 20 marek czynszu; to jest przeciętnie czysta rola i łąka. Jeżeli doliczymy do tego pastwiska, lasy i nieużytki, przypuszczam, że owe 650,000 hektarów wogóle przedstawiają wartość dochodową 15 marek od jednego, czyli 5 talarów renty. 5 razy 600,000 wypada 3 miliony, co stanowiłoby 3% od 100 mil. talarów. Otóż zachodzi pytanie, czy Prusy w własnym i całego państwa niemieckiego interesie nie mogłyby wydać 10 mil. talarów dla nabycia majątków szlachty polskiej — krótko mówiąc — dla wywłaszczenia jej. Brzmi to potwornie, ale jeśli dla drogi żelaznej wywłaszczamy i burzymy gospodarstwa, domy, cmentarze, jedynie dla wygody towarzystwa kolejowego, jeżeli wywłaszczamy dla zbudowania twierdzy lub przeprowadzenia ulicy w mieście, jeżeli wywłaszczamy całą dzielnicę miasta, jak w Hamburgu, dla założenia przystani, jeśli zwalamy tysiącoletnie domy, dla czegożby państwo, dla ubezpieczenia swej przyszłości i usunięcia niepokoju, nie miało w potrzebie chwycić się tego samego środka! Nie żądamy tu krzywdy, niech cała wartość będzie zapłacona, a może ci panowie po części będą bardzo zadowoleni; za pieniędze, które otrzymają, kupią sobie coś w Galicyi lub za granicą rosyjską; tam znajdą się bardziej u siebie, a wielu z pomiędzy nich będzie nawet wolało z majątkiem pojechać na Zachód, do Paryża lub Monaco (wesołość). Nie jest to więc, moi panowie, tak potwornem, jak się na pozór zdaje; i koszta nie byłyby wielkie. Jestem przekonany, że skarb ostatecznie nie wiele by przytem stracił, a jeżeli straci 10%, to sądzę, że możemy poświęcić rentę z tą świadomością, że nakoniec na naszej granicy wschodniej będziemy mieli spokój i ludzi, którzy nie są prusakami z wypowiedzeniem służby, dopóki nie zdarzy się sposobność do odpadnięcia. Rząd wszakże *w obecnej chwili* nie zamierza iść tak daleko. Zaznaczyłem tylko tę możliwość, ażeby ją sobie ogół rozważył i pomyślał, czy to nie byłoby pożytecznem, i ażeby panowie polacy, którzy tak niechętnie żyją pod rządem pruskim, ze swej strony również rozważyli, czy oni sami nie powinni postawić wniosku: odprawcie nas! (wesołość). Nasze wymaganie nie sięga tak daleko; przedstawimy Wam środki i na ten cel zażądamy pieniędzy — o wysokość sumy traktujemy z ministrem skarbu — ażebyśmy mogli powrócić do systemu Flottwella i zużytkować te dobra, które dobrowolnie wystawione będą na sprzedaż, i te dominia, które się do tego nadadzą, osiedlając na nich niemców śród warunków, dających pewność lub prawdopodobieństwo, że oni niemcami pozostaną, a więc niemców z niemieckiemi, nie polskiemi kobietami. Chcemy tę sprawę mieć o tyle w rękach i pod nadzorem, o ile to jest potrzebnem do pewnego osiągnięcia celu. W tym względzie potrzebowalibyśmy — podobnie jak to się działo przy kolonizacyach Fryderyka W. — utworzyć komisyę, któraby zależała od ministeryum państwa, ale liczyła w swem łonie wybranych przedstawicieli obu Izb pruskich, ażeby one kontrolowały jej czynności. Komisya owa kierowałaby zużytkowywaniem dóbr nabytych ku temu celowi, ażeby tam osiedlali się niemcy, bądź jako dzierżawcy, bądź jako czynszownicy. Nie wymagamy wskrzeszenia dzierżawy dziedzicznej, wystarczy czasowa, tak obliczona, że po 20 lub 25 latach majątek staje się własnością dzierżawcy; rachunek bowiem po za lat 50 przekracza możliwość ludzką. Zażądamy więc od Was przedewszystkiem kredytu na skupowanie dóbr, niestety, w obecnym smutnym stanie rolnictwa, nawet takich, które pozostają w rękach niemieckich a utrzymać się w nich nie mogą; ale dla osiągnięcia naszego celu musimy brać to, co znajdujemy. Nadto mamy *rozmaite inne* sposoby, które po części bez zmiany, po części ze zmianą prawodawstwa mogą być wykonane, a dążyć będą głównie do tego, ażebyśmy polakom, jako

urzędnikom i żołnierzom, dawali możliwie najwięcej sposobności do osiedlania się w prowincyach niemieckich i poznawania *błogosławieństw* cywilizacyi niemieckiej, ażebyśmy niemieckim oddziałom wojsk i urzędnikom również dawali sposobność nauczenia się po polsku o tyle, ażeby z korzyścią poruszali się w Poznańskiem i Prusach wschodnich.“

Z GALICYI.

Lwów, 24 stycznia 1886.

Zamknięcie sesyi sejmowej. — Końcowe przemówienie marszałka. — Cechy ubiegłej sesyi.

Dnia 23 stycznia dobiegła do kresu sesya sejmowa. Zagajona 25 listopada, trwała wprawdzie dwa miesiące, ale niestety niezbyt płodną była w rezultaty pomyślne, że już nie mówię — doniosłej wagi. Odbiło się to w końcowem przemówieniu marszałka, charakterystycznie krótkiem i ogólnikowem. Przyznał on w niem otwarcie, że zamknięta sesya była „mniej bogatą w ustawy i uchwały, niż niejedna z poprzedzających,“ natomiast jednak zaznaczył, że była niezawodnie (?) mozolniejszą i pracowitszą, niż którakolwiek (?) przedtem a to z powodu ważności spraw, któremi sejm się zajmował, i znacznych trudności w ich załatwieniu. Marszałek sądzi, że z tego powodu będzie ona pamiętną a jeżeli nic więcej, to już same ustawy i uchwały, które zapadły w kwestyi języka rusińskiego w szkołach ludowych i średnich, wystarczą, ażeby jej zapewnić bardzo ważne stanowisko w historyi galicyjskich sejmów.

Podniosła ta mowa tylko jedną sprawę, jedyną co prawda, która zwróciła na siebie uwagę ogólną, jedyną, która wzbiła się po nad poziom, że tak powiem, administracyjnych czynności sejmowych, jedyną wreszcie, która posłów wszystkich barw i odcieni żywiej zainteresowała i zmusiła ich do do otwartszego zaznaczenia swojego wobec niej stanowiska. Mówię z umysłu „otwartszego,“ bo słowa, które padały w sprawie ruskiej ze wszystkich stron Izby sejmowej, nie zawsze odsłoniły prawdziwe stanowisko mówców a niejeden za kulisami wyrazistszą przybierał barwę.

Nie chcę jednak już w tej chwili rozbierać szczegółowo rezultatów ubiegłej sesyi. Obecnie zaznaczę tylko, że wrażenie, jakie po niej pozostało, nie jest korzystnem. Rozprawy w pełnym sejmie, w klubach i komisyach wykazały bowiem dowodnie, że brak jest przedewszystkiem ludzi, sięgających myślą po za kres chwili bieżącej, brak programu działania i wiary w powodzenie prac, wreszcie zapału i należytego odczucia potrzeb kraju. Cechuje nadto prace sejmowe dziwna trwożliwość: co na ten lub ów krok, na tę lub ową uchwałę powie wysoki rząd, jak ją raczy przyjąć? Wszystko to, w połączeniu ze znaną u nas powolnością w załatwianiu spraw i odkładaniem pracy na sam koniec, spowodowało, że rzeczywistych wyników obrad niemal niepodobna dostrzedz. Nie mogę także pominąć milczeniem tej smutnej okoliczności, że w czasie tegorocznej sesyi żywiej odzywały się reakcyjne echa (projekt zniesienia powiatowych władz autonomicznych), że oszczędność przedewszystkiem zaprowadzono w rubryce na cele nauki, że wreszcie wbrew opinii światlejszego ogółu i wbrew głosom najbardziej w tem interesowanych rusinów udzielono ks. zmartwychwstańcom 4,500 złr. zapomogi na znany internat.

Leszek.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozprawy w sejmie pruskim (o których mowa na innem miejscu) zakończyły się w sposób niezwykły. Richter podał wniosek, ażeby na zasadzie art. 27 regulaminu sejmowego odesłano projekt do komisyi, ponieważ wykonanie jego wymaga wprost lub pośrednio asygnowania pewnych sum. Było to żądanie zupełnie słuszne, ale kiedy prezydent sejmu wbrew obowiązkom swym nie poparł go należycie, owszem starał się wykrętnie paragraf przytoczony tłomaczyć, wtedy członkowie centrum, wolnomyślni i polacy opuścili salę obrad. Był to, jeżeli się nie mylimy, pierwszy objaw tego rodzaju opozycyi w sejmie pruskim. Rozumie się, że pozostała w sali większość rządowa przyjęła wniosek Achenbacha jednomyślnie.

„Figiel karoliński“ dał Bismarkowi bardzo pomyślne rezultaty. Arcybiskupem gnieźnieńskim mianowany został niemiec, ksiądz Dinder. Gazety poznańskie „z bólem serca,“ ale z uległością przyjmują ten nowy dowód przychylności Watykanu.

Sprawy bałkańskie wyjaśniają się nieco. Mocarstwa powtórzyły oświadczenie zbiorowe, wzywające do rozbrojenia, z tym dodatkiem, że wszelkie wojownicze zachcianki któregokolwiek z państw bałkańskich surowo będą poskromione. Serbia dała już pokój planom przywrócenia równowagi i delegaci jej przybyli do Bukaresztu dla układów z Turcyą i Bułgaryą. Postanowiono, że poprzednio powinna być rozstrzygnięta sprawa rumelijska. Ostatnie telegramy donoszą, że Porta zatwierdziła już warunki zjednoczenia obu Bułgaryj. Szczegóły nie są jeszcze dokładnie wiadome, dziś powiedzieć można tylko, że unia będzie osobistą, co nie przeszkadza ścisłemu zjednoczeniu księstwa i Rumelii pod względem wojennym i administracyjnym. Księciu Aleksandrowi okazała Porta wiele grzeczności i usunęła liczne wymagania, które byłyby dlań przykre osobiście.

Na greków nawet powtórzona nota okazała pewien wpływ, który spotęgował jeszcze przybycie na wody Archipelagu eskadry angielskiej, potem zaś włoskiej i austryackiej. Król grecki zamyśla jednak o abdykacyi, ponieważ czuje się dotknięty grubiańskiem postępowaniem posła angielskiego. Mieszkańcy Krety podali zbiorową deklaracyę z żądaniem przyłączenia tej wyspy do Grecyi, ale podania tego żadne z mocarstw nie przyjęło. W ostatnich dniach humor grecki poprawił się nieco na wieść o upadku gabinetu Salisburego; zmiana ta jeżeli nie wywoła zwrotu w polityce angielskiej, pozwoli przynajmniej odwołać niegrzecznego posła w Atenach i w ten sposób dać królowi Jerzemu bodajby pozorne zadośćuczynienie.

Dzienniki szukają gorliwie przyczyn, dla których Salisbury podał się do dymisyi. Mowa tronowa zapowiadała politykę energiczną i pozwalała raczej spodziewać się rozwiązania parlamentu. Zdaje się jednak, że Salisbury przekonał się, iż potrzebnej mu większości głosów nie zdobędzie, irlandczykom zaś ustępstw poczynić nie chciał — musiał więc ster rządu oddać w inne ręce. Na czele nowego gabinetu stanął Gladstone, który powołał do władzy dawnych swych towarzyszów. Więk-

5)

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIĄ PRACĘ.

Drobnemi falami płynęło życie Żurbów. Od tej ciężkiej doli ryły się ślady w ciele i w duszy. Troski, smutki i liche odżywianie — rozstroiły Żurbę, więc stał się hypokondrykiem żółciowym. W pognębieniu zasypiał i budził się. Przedtem nie był zaradny względem siebie, a teraz złamany, całkiem ociężał i spał dużo. Kochał żonę i dzieci głęboko, choć często opryskliwym i zgorzkniałym bywał dla nich. Otrząsał się niekiedy, jakby ze snu, chcąc los swój polepszyć. Snuł zamiary świetne, ale ziścić żadnego nie potrafił, tak dalece w walce codziennej wola jego osłabła. Tylko z większem ożywieniem i nadzieją nieuzasadnioną palił fajkę i pił herbatę. Tych dwóch rzeczy najwięcej pochłaniał. Wracał do swych ulubionych zajęć: robił mieszaniny ze spirytusu, kamfory, ałunu lub amoniaku i wlewał płyn do rurek szklanych. Miały to być barometry. Po układaniu się kryształów poznawał zmiany powietrza. Tworzył kalendarze wedle sposobu przekazanego sobie przez ojca, przepowiadał chłopom deszcze, wichry, mrozy lub upały. Przychodzili doń ludzie pokąsani przez psa wściekłego lub kota, leczył ich i wzdrygał się dopominać o wynagrodzenie.

— Czemu nie żądasz od nich pieniędzy?— wyrzucała mu żona. Wszak znasz położenie nasze.

— Daj ty mnie święty spokój! — odpowiadał rozdrażniony, czując słuszność uwagi.

Niepokój ogólny, w ciele i w duszy, nie opuszczał ani na chwilę Żurbiny. Jakieś zaniepokojenie rozszerzało się po całym organizmie. Czuła dławienie w płucach, utrudniony oddech, ściskanie w skroniach i ciemieniu. Trwoga ją ogarniała, przeczucie strasznej jakiejś choroby dręczyło. Bywały chwile, że, znalazłszy się w otwartem polu, z przerażeniem szukała krzaka lub drzewa, biegnąc ku nim z zapartym tchem i sercem bojaźliwie tętniącem, nogami omdlewającemi, z uczuciem szczypania w nich, a z radości drżała i oczy ku niebu wznosiła, gdy domu dopadła. Głowa jej się chwiała z wycieńczenia, a ona, biedaczka, chwytała ją ręką, przerażona, myśląc, że jej spada z karku. Splot utrapionych myśli o niedostatku codziennym i marnieniu dzieci bez wychowania zaległ jej w mózgu i więził biedną duszę. Nikła z dniem każdym. Wyratować ją mogła tylko jakaś radość wielka, coby całą istotę jej przejęła. Prąd ożywczy tego uczucia wzbudziłby szersze fale życia i przedłużyłby pasmo dni organizmu kruszącego się. Jadła proszki żelazne, chininę, piła zioła gorzkie, które jej mąż przyrządzał, a zdrowie nie polepszało się.

Żurba miał czterech synów. Starszy, Wacław, pomagał w początku ojcu, od połowy nocy do rana wyręczając go w czuwaniu nad smolarnią. Później poszedł na służbę. Gargulski dał mu posadę leśnika z płacą po ośm rubli na miesiąc. Pomocnikiem więc stał się młodszy, Bogusław. Dwaj zaś najmłodsi, Edmund i Brunon, zajęci byli książką, czytali, co znaleźli w szczupłym księgozbiorze ojca: starą bardzo historyę hiszpańską, dzieje jakobinizmu, dzieło bez początku i końca, pod tytułem *Cuda natury*, *Kirgiza* Zielińskiego, powieści Walter-Skota itp. Malcy byli bardzo chciwi wiedzy. Od pieluch kołysani szumem boru, samotni, bez rówieśników hałaśliwych, wcześnie bardzo poczuli pociąg do książek. Edmund tak się zaczytywał, że aż dostawał uderzeń krwi do głowy. Raz nawet mocno tem przestraszył matkę i ojca. Gdy wedle zwyczaju zwiesił głowę nad *Jerozolimą wyzwoloną* i pożerał stronice, pociemniało mu w oczach, zaszumiało w uszach, zachwiał się i upadł. Brat starszy ledwie go ocucił wiadrem wody zimnej.

szość z nich, jak: Harcourt, Granville, Mundella, Chamberlain i inni wraca na dawne lub zajmuje nowe stanowiska. Kilku jednak z przywódców stronnictwa liberalnego — np. Derby i Hartington—odmówiło udziału w rządzie, ponieważ nie zgadzają się na politykę irlandzką nowego ministra. O polityce tej obiegają rozmaite pogłoski; jedne dzienniki twierdzą, że Irlandya otrzyma oddzielny parlament w Dublinie, inne znowu, że tylko samorząd miejscowy znacznie będzie rozszerzony i że Parnell tymczasem zrzeka się dalej sięgających planów. Prawdopodobnem jest, że narodowcy irlandzcy w wielu rzeczach z początku ustąpią, ale później targować się zaczną o nowe prawa i za poparcie gabinetu każą sobie zapłacić całkowite wynagrodzenie. Jakie stanowisko zajmie w polityce zewnętrznej nowy gabinet angielski, trudno dziś przesądzać; w każdym razie powiedzieć można na pewno, że znana chwiejność Gladstone'a nie jest bynajmniej odpowiednią rękojmią utrzymania pokoju w Europie, poglądy zaś jego w sprawach bałkańskich wróżą raczej szereg nowych zawikłań.

Francuskiej Izbie deputowanych przedstawiono do zatwierdzenia traktat z Madagaskarem. Nie będziemy szczegółowo wyliczali 19 artykułów tej umowy, zaznaczymy tylko, że rezultatem jej jest ustanowienie protektoratu francuskiego na tej wyspie. Koszty wojenne i ustąpienie kilku miejscowości nadbrzeżnych posłużą do utwierdzenia władzy francuskiej. Rzeczpospolita obowiązuje się również dostarczać hovasom wojskowych, inżenierów, doktorów a nawet uczonych. Generalnym rezydentem Francyi w Anamie mianowany został Paweł Bert, co zaniepokoiło mocno misyonarzy, ale uspokoił ich znany uczony dowcipnym frazesem, że „antyklerykalizm nie jest wcale przedmiotem wywozu."

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 30 stycznia.

Jubileusz instytutu Stauropigiańskiego. — Sprawozdanie tow. „Proświta." — Sejm i towarzystwa ruśińskie.

Minął „sezon polityczny," i życie rusińskie weszło w zwykłą swą kolej. Skromne towarzyskie zabawy, gazeciarskie obrady nad ubiegłymi wypadkami, obchody i zgromadzenia—oto jego treść. Rocznica śmierci Tarasa Szewczenki, uroczyście obchodzona we wszystkich galicyjskich ogniskach rusińskiego życia, zbliża się; obecnie najwięcej zajęcia w szerszych kołach budzi 300-letni jubileusz bractwa Stauropigiańskiego. Jubileusz ten uczczono już dwoma wieczorkami muzykalno-deklamacyjnymi, lecz główną i najważniejszą jego pamiątką będzie wystawa starych zabytków sztuki i przemysłu, znajdujących się w instytucie, jako też wydanie dokumentów i aktów, odnoszących się do 300-letniej, wielce ciekawej historyi tego bractwa. I wystawa i to (kilkotomowe) wydawnictwo podjęte zostały z pobudki obecnego seniora, prof. tutejszego uniwersytetu, Izydora Szaraniewicza. Głównym zaś współpracownikiem przy wydawnictwie jest młody paleograf, niedawno mianowany członkiem korespondentem krakowskiej Akademii Nauk, p. Skobelski, który też równocześnie pracuje nad ogłoszeniem bogatego archiwum familijnego książąt Sanguszków ze Sławuty.

Drugim niemniej ważnym i doniosłym faktem naszego życia towarzyskiego jest ogólne zgromadzenie członków tow. „Proświty," które w tych dniach ma się odbyć we Lwowie. Ustępujący jej wydział wydrukował świeżo „Sprawozdanie" ze swych czynności w r. 1885, z którego wyjmujemy następujące cyfry. „Proświta" liczy obecnie przeszło 1,600 członków, z których w r. 1885 największa część, bo 1,360 złożyło składki. Całego dochodu w tym roku miało towarzystwo 6,270 złr. 53 kr., wszystkich zaś wydatków 3,711 złr. 17 kr. Z dochodów obrócono 2,509 złr. 25 kr. na zakup papierów wartościowych ku powiększeniu zakładowego kapitału, który obecnie wynosi 13,600 złr. Najważniejszy wydatek—na druk książek popularnych—wynosił 1,395 złr. 87 kr., za ktore wydano sześć książeczek (jedna z nich, kalendarz ilustrowany na r. 1886 w znacznej objętości ok. 15 arkuszy druku) w ogólnej liczbie 13,000 egzemplarzy. Prócz druku inne koszta (honoraryum autorom, korekta, stempel na kalendarz itd.) wynosiły 754 złr. 22 kr. Dotychczas puściło już towarzystwo 89 książek, przeciętnie w 2—4, niektóre zaś nawet w 8—12 tysiącach egzemplarzy. Wartość znajdujących się na składzie sięga przeszło 18 tysięcy złr., do których dodać jeszcze należy pretensye towarzystwa do różnych ludzi i firm księgarskich za wzięte w komis książki na sumę 7,394 złr. Ogółem cały majątek „Proświty" wynosi obecnie 40,687 złr. 79 kr. W ubiegłym roku przybyło jej 324 nowych członków, a między nimi 99 włościan, 30 mieszczan, 14 nauczycieli ludowych, 29 księży, 47 ludzi ze świeckiej inteligencyi, 5 bractw cerkiewnych, 6 towarzystw i 94 czytelnie ludowe. Czytelniom, bractwom i towarzystwom na założenie bibliotek rozdarowała „Proświta" swych wydań w wartości 750 złr. 27 kr. Dla czytelni wydała też już trzeci nakład statutów, a drugi—formularzów dla kas pożyczkowych. Prawdziwym postępem na polu ruchu czytelniczego jest zawiązanie się dwóch „komitetów" dla czytelni ludowych" przy filiach „Proświty" w Stanisławowie i Tarnopolu. Prócz tego wypłaciło towarzystwo 167 złr. zapomogi i 180 złr. zwrotnych pożyczek dla różnych pobocznych wydawnictw literackich i naukowych. Wreszcie brało też żywy udział we wszystkich ważniejszych obchodach i uroczystościach narodowych, jak: pamiątka rocznicy śmierci Szewczenki, 25-letniej literackiej pracy Koniskiego, pogrzeby Żelechowskiego, Szaszkiewicza, Suszkiewicza i Kostomarowa.

Oto są dosyć wymowne cyfry i fakty, które staną się tem wymowniejszemi, jeżeli je porównamy np. ze sprawozdaniem „Macierzy polskiej," którą wydanie 12 książeczek kosztowało 8,000 złr., albo której wydawnictwo nędznego czasopisma ludowego „Niedzieli" przy 990 płatnych abonentach i przy 3,000 zł. krajowej zapomogi nie opłaca się!

Odnośnie do krajowej zapomogi dodać muszę, że „Proświta" pobiera jej tylko 1,000 złr. i to z dodatkiem corocznych prawie napadów ze strony niektórych przedpotopowych szlachciców w rodzaju p. Polanowskiego i jego zwolenników. Ostatni sejm ze względów „oszczędnościowych" właśnie w rubryce zapomogi dla towarzystw ogromne porobił skreślenia, przyczem szczególnym trafem kreski padły na większą część biednych towarzystw rusińskich. Za to tama szczodrobliwości sejmowej otwarła się z innej strony: sypnięto

---

Gdy pewien właściciel ziemski pożyczał im ze swej biblioteki książek, których przedtem nie mieli nigdy w ręku, pochłaniali je, jak inni w ich wieku — łakocie.

— Posiadacie państwo bardzo zdolne i chciwe nauki dzieci — robił uwagę Żurbom ów „obywatel-ziemianin," nazwiskiem Ohejko.

Rodzicom miło było słyszeć pochwałę. Żurba gładził sobie włosy i nasuwał je z zadowolenia na czoło łyse, oczy Żurbiny wilgotniały.

— Och, tak, szanowny panie!— mówiła, wzdychając — los nielitościwy nie pozwolił nam do szkół ich oddać...

— To wielka szkoda! W społeczeństwie żadna jednostka nie powinna marnieć... Już to przyznać trzeba, że Trzmiele-Żurbowie, to zdolna i słynna z prawości charakterów rodzina w kraju.

Wszyscy synowie mieli usposobienie harde po ojcu i rzewne — po matce. Lada słowo wyrzeczone przez kogoś, będącego w dobrym bycie, raniło ich do głębi. Odziani ubogo i posileni lichą strawą, tak się tulili do siebie w ognisku rodzinnem, jak gdyby na nich zewsząd coś czyhało, zamierzając pożreć. Żywili uczucie bojaźni względem ludzi zamożnych, i, jakby w przeczuciu spodziewanej krzywdy, omijali ich. Z uczuciem przekory i pogardy dla szorstkich i dumnych dziedziców lub oficyalistów, nawiedzających czasem dom ich rodziców, zatapiali się w książkach z żarliwością fanatyków. Wtedy słyszeli takie rozmowy:

— Szczęśliwy jesteś, panie Janie, że masz takich synów! Mój Piotruś urwis, ciągle mię zasmuca... Tylem na niego wydał, a ot teraz wypędzono go z czwartej klasy.

— A cóż Ignaś?

— I tego hebesa wypędzą!.. Nie uczy się, ale po knajpach się wałęsa i za dziewczętami ugania... Rozpacz!

Była w okolicy bogata dziedziczka, zajęta czytaniem ksiąg francuskich, pisanych przez duchownych ludzi. Łechtało jej miłość własną, że dzieci ubogich oficyalistów i szlachty zagonowej, którym dawała zapomogi pieniężne na kształcenie się, osiągnąwszy stopnie doktorów, techników lub adwokatów, składali swe hołdy wdzięczności, sławiąc po świecie cnoty „pani dobrodziejki." Wielka to przyjemność dla ludzi majętnych! Ohejko wspomniał jej o dzieciach Żurby, że zdolne są, lecz marnieć muszą. Dała stypendyum dla jednego z nich, drugiego on sam wsparł. Dzięki temu Edmund i Brunon pojechali się kształcić do stolicy, zdobywać uprzywilejowane miejsce na świecie...

— Złota to kobieta, ta pani chorążyna! — wybiegały słowa wdzięczne z ust Żurbiny. Brunonek z łaski jej będzie w gimnazyum! Niech ją Najwyższy błogosławi i da długie lata!

— Et, co tam! — syczał hardy mąż—to i cóż e pomogła... Wynagrodziła niesprawiedliwość Zazorskiej. Ja wolę Ohejkę. To mi złote serce i prawość charakteru! Jaki on dobry i delikatny w obejściu! Nie zadraśnie ci ani na jotę twej godności, bo nie choruje na pana — może nawet nikt nie dowie się, że pomocy swej udzielił... Pamiętasz, co powiedział Edmusiowi, kiedy ten się wzdragał przyjąć? „Porzuć pan skrupuły! Po co masz zdolności zagrzebywać? Mocno w to wierzę, że tylko działając zespolonemi siłami, można coś zrobić!" O! widzisz? Tak prawdziwie szlachetny człowiek mówi... Od takiego i wsparcie przyjąć lżej!

— Ależ tak, mój drogi, czyż ja nie podzielam twego zdania? Tylko, zdaje mi się, i chorążynie wdzięczność się należy...

— Tak, wdzięczność!.. Ale jak wyrażona? Wyprężaniem się, niby struna, przed obliczem jasnej pani i czołobitnością płaską! Ej, pany, pany, pasibrzuchy! Zadaj się tylko z wami!...

— Więc wolałbyś, żeby dziecko w domu zostało?

Zakasłała.

Zaperzony szedł do smolarni zrzędzić na robotników. Żurba z dniem każdym stawał się coraz ociężalszym i opryskliwszym, napady hipokondryi powtarzały się częściej. Całe życie jego wtedy składało się z doz-

bowiem na internat Zmartwychwstańców 4,500 złr. Et haec meminisse juvabit.

I. Franko.

LISTY KRAKOWSKIE.

---

25 stycznia.

W przeszłym tygodniu stoczona została walna bitwa w wojnie, która od wielu lat toczy się pomiędzy artystami krakowskimi a zarządem tutejszego Towarzystwa sztuk pięknych. Początkowo zarząd tego Towarzystwa spoczywał w ręku ludzi bogatych, magnatów — a do grona tego nie miał wstępu żaden artysta. Pierwszy wyłom w pańskiej falandze zrobili dzisiejsi starsi artyści, zaprzestając dawać swe obrazy na wystawę Towarzystwa, urządzając osobną własną. To przekonało zarząd, że potrzeba uledz. Nastąpiła wówczas ugoda: artyści utworzyli Bratnią pomoc, mającą się zasilać połową dochodu z wystawy Towarzystwa a trzech jej przedstawicieli weszło do składu dyrekcyi Towarzystwa sztuk pięknych z głosem stanowczym.

Tak rzeczy stały do niedawna. Między obu towarzystwami panowała zgoda; ale wnet okazało się, że Towarzystwo sztuk pięknych drogo tę zgodę opłaca; Bratnia pomoc zeszła do liczby 8 członków czynnych, choć statut wymaga, aby sam komitet składał się z dwunastu mężów. Wlokło się to aż do chwili, w której miejsce panów zajęli w Dyrekcyi sztuk piękn. miłośnicy sztuki, doktorzy i profesorowie. Ci chcieli rychło zerwać umowę z artystami stanowczo, lecz sprzeciwił się temu Matejko, przewodniczący i przedstawiciel Bratniej pomocy. Powaga głosu jego umorzyła sprawę w zarodku. Skoro jednak ta burza ucichła, powstała nowa ze strony artystów. Tak zwana młoda szkoła malarzów uczuła się pokrzywdzoną brakiem reprezentacyi w Dyrekcyi sztuk pięknych; niezadawalały jej poczciwe, ale bierne i nieporadne osobistości artystów-profesorów, delegatów pomocy Bratniej; obok tego niemile drażniły ją pewne postacie w składzie Dyrekcyi—pełne pogardliwego obejścia dla żywotnych wymagań malarskiego świata. Z początku chwycono się gniewliwych pogróżek, jawnych objawów niezadowolenia, zapowiedzi nowej wystawy. Nakoniec znalazła się rada praktyczna, zapewniająca pomyślny i szczęśliwy sposób zapobieżenia złemu, bez nietaktownych żądań o usuwanie członków Dyrekcyi. Artyści postanowili się gromadnie zapisać do Bratniej pomocy i tą drogą, czysto legalną, przeprowadzić po swej myśli wybory delegatów do Towarzystwa sztuk pięknych. W tym celu w sobotę ubiegłą około 30 nowych członków Bratniej pomocy zebrało się na zgromadzenie. Przewodniczył Matejko, który występował w obronie Towarzystwa sztuk pięknych, złożywszy poprzednio swój mandat na delegata do Dyrekcyi. Młode pokolenie znalazło swobodne pole do wynurzenia swych zapatrywań i pokierowania spraw w ich kierunku. Wybory uskutecznione zostały według woli młodych — do Dyrekcyi na delegatów wszedł Piotrowski, Ajdukiewicz, Rieger — z dawnych pozostał tylko profesor Loeffler. W tym samym duchu zmienił się też komitet Bratniej pomocy. Starsi artyści bardzo niezadowoleni są z tego wyniku — nie jest on też na rękę dyrekcyi Towarzystwa sztuk pięknych, wcale nieprzygotowanej na to przymusowe odświeżenie swych sił.

W. P.

BADANIA NAUKOWE.

O KAPITALE.

I.

W ośmnaście lat po pierwszym wyszedł niedawno tom drugi klasycznego dzieła Marxa o *Kapitale* *). Wydawca, przyjaciel autora Fryderyk Engels, któremu Marx na śmiertelnem łożu zlecił, aby z pozostałych rękopismów „coś zrobił.“ opowiada w przedmowie o trudnościach, jakie przy porządkowaniu nagromadzonego materyału zwalczać musiał, z zapałem i gruntownością odpiera zarzut często w Niemczech jego mistrzowi czyniony, jakoby ten dopuścił się plagiatu z teoryi Rodbertusa i wreszcie—lubo w czasie nieokreślonym—zapowiada ogłoszenie tomu trzeciego, mającego mieścić ostateczne rezultaty badań nad procesem reprodukcyjnym społeczeństwa, rozwijającym się na podstawie kapitalistycznej.

Nie możemy tu streszczać pracy Marxa, bo by nas zamiar taki doprowadził do konieczności dosłownego tłomaczenia obszernych nieraz i suchych z niej wywodów, na co w piśmie peryodycznem miejsca nie ma. Wolimy ograniczyć się na przedstawieniu główniejszych wyników, do jakich w ciągu rozważań swoich dochodzi autor, pobliższe ich uzasadnienie odsyłając do dzieła samego. Że wszakże tom drugi jest dalszym ciągiem pierwszego, ściśle z jego osnową związanym, przeto za niezbędne uważamy przedstawienie to poprzedzić rysem pojęć zasadniczych, na których opiera się system Marxa.

Podług tych pojęć tedy w każdym towarze odróżnić można dwojaki rodzaj wartości: użytek, jaki przynosi, przez zastosowanie do potrzeb ludzkich—wartość użytkową, i znaczenie, jakie ma, w drodze zamiany na inne towary—wartość zamienną. Obie te wartości nie są równe sobie, a stopień każdej z nich od różnych zależy okoliczności. Wartość użytkowa stu funtów chleba dla pożywienia ludzkiego zawsze jest ta sama; wartość ich zamienna natomiast, cena ich, jest już wyższa, już niższa, stosownie do pomyślnego lub niepomyślnego wypadku żniw, stosownie do łatwości dowozu, ulepszenia młynów lub piekarni itp. Jako przedmiot użytkowy, każdy towar ma właściwy sobie charakter, odpowiednio do potrzeby ludzkiej, której służy. Wartość zamienna wskazuje własność wszystkim towarom wspólną, w każdym z nich występującą w różnym stopniu. Jako przedmiot użytkowy ani sto, ani tysiąc befsztyków nie może zastąpić jednej pary butów; to jednak nie przeszkadza, aby pewna ilość befsztyków nie miała ściśle oznaczonej wartości zamiennej pary butów. Celem umożliwienia tego musi więc istnieć własność, która tkwi we wszystkich rodzajach towarów, nawet najróżnorodniejszych. Rzeczy niemających nic ze sobą wspólnego porównywać przecie nie można. Własnością tą, owym wspólnym składnikiem wszelkich towarów, częścią, której wielkość w danym towarze tworzy miarę jego wartości zamiennej, jest potrzebna do wyprodukowania jego praca ludzka. Ta ostatnia, aby dać początek wartości zamiennej, winna wogóle być pożyteczną, zaspakajać jakąś potrzebę ludzką, żywiołom przyrodzonym nadawać kształty przydatne dla celów ludzkich, wszędzie bowiem, gdzie ma powstać wartość zamienna, istnieć musi poprzednio jakaś wartość użytkowa. Praca, zdaniem Marxa, przedmiotowi obrabianemu dodaje swoją własną wartość. Wartość zamienna towaru każdego składa

*) Karl Marx: *Das Kapital Kritik der politischen Oekonomie.* Hamburg 1885, str. 526, XXIII.

---

ru nad smolarnią, będącą dlań tem, czem jest skorupa dla ślimaka — z fajki, herbaty, snu całodziennego, gdy wolny był od zajęcia, z gderania na byle kogo i o byle co. Mieszkali tylko we troje: on, żona i Bogusław, najstarszy zaś syn wstępował w ślady ojca, był, jak on niegdyś, podleśniczym i pobierał już trzynaście rubli miesięcznie, tylko posiadał cechę, nabytą w walce o byt — zdradzał więcej, niż rodzic, zaradności. Brat Żurby, zajmujący wyższe stanowisko w stolicy i zarobkujący pracą literacką, przysyłał mu darmo czasopismo ilustrowane.

Płacę miał tej samej wysokości, to jest, pobierał trzysta rubli, dla trojga wystarczało to na cokolwiek znośniejsze życie, niż dla pięciorga. W tym czasie zaszły zmiany w warunkach służbowych Żurby. Miejsce Gargulskiego, nadleśniczego zajął nowy człowiek, niejaki Hołubowicz. Tamten zaś, porósłszy w pierzenamieniu swych chlebodawców, wziął w dzierżawę folwarki i świetne interesy robił. Dziedziczka, pani marszałkowa, oczyściwszy majątki z długów, umarła gdzieś u wód zagranicznych, a dobra przeszły w ręce syna, jedynaka. W sercu Żurby zbudziły się nadzieje. U dziada i ojca młodego dziedzica miał lepszą posadę, lepszym bytem się cieszył, jako o zarządzającym dużymi lasami więcej ludzi wiedziało, marzył więc, że wnuk przywróci mu to, co utracił za matki. Postać młodego pana rysowała się w duszy Żurby ponętnie, owiana urokiem i uśmiechała się uprzejmie, otwierając ramiona bratersko. W rzeczywistości on to sam do niej otwierał ramiona i wdzięczył się.

Młody chlebodawca zaczął usuwać dawnych oficyalistów, sprowadzając nowych z różnych stron kraju. Wszyscy ci ludzie byli w średnim wieku i w pełni sił. Budzili ufność ku sobie swą krzepkością i energią, więc ubiegał się o nich. Powstawały stąd zawiści dawnych względem świeżych, kwitła obmowa, skrzywdzeni chwytali się donosicielstwa, zaskarbiając sobie łaski służalstwem. Żurba zaś ciągle wierzył w mającą wybić wkrótce godzinę swego wywyższenia. Nadzieja jakaś niepochwytna, niedająca się ująć w słowa, przesuwała w jego duszy dziwne obrazy. Zdawało mu się, że jest niewinnie oskarżony, osądzony i skazany, młody zaś dziedzic przegląda jego sprawę i, tylko patrzeć, przywróci godność utraconą. Tymczasem zbawca utęskniony, zwiedzając smolarnię, zdziwił się, że podczas gdy tylu już powinęło się oficyalistów, istnieje jeden, co jego ojca i dziada jeszcze pamięta. Patrzał tedy na Żurbę, jak na sprzęt stary, słuchał skarg jego, rozmawiał z nim uprzejmie, głosem z pańska nosowym i odjechał, ścigany resztką pierzchających już marzeń starego smolarza. Podwyższył Żurbie płacę o pięćdziesiąt rubli, a ten i z tego był rad.

— Ha! dobrze i to, cieszył się. Łatwiej może pójdzie spłacanie długu Srulowi Percowskiemu.

Żona się uśmiechała radośnie, oderwawszy swe oczy wyblakłe od jakiegoś „dodatku“ do czasopisma.

Biedna kobieta więdła widocznie i chyliła się ku desce grobowej. Dwa wypadki ją dobiły. Raz, gdy swoim zwyczajem szły roboty w smolarni, rurami ciekła smoła gorąca do kadzi, do czujnych nozdrzów Żurbiny dolatywała ostra, orzeźwiająca woń terpentyny. Och, ta woń! Przez kilkanaście lat wyćwiczyła kobieta swój nos i wiedziała, że tylko od nadmiernego nagromadzania się gazów w aparatach fabryki zapach aż do mieszkania dochodził. Trwoga ją zdjęła, omdlenie rozpostarło się w nogach, ze drżeniem serca oczekiwała, jak zwykle, wybuchu. Jakoż rozlegl się huk, a potem krzyk robotników. Żurbina zębem o ząb trafić nie mogła, drżała, a na ustach zamierały słowa: „pod... twoją... obr... oo... n... uciek...“ Pękła obręcz na kadzi i klepka jedna wyleciała w powietrze. Po chwili nieszczęsna kobieta ujrzała robotników, posuwających się zwolna do mieszkania z czemś na rękach. Dech zamarł i okrzyk zgrozy wybiegł z jej wątłej, porwanej kaszlem piersi. Męża jej niesiono, myślała, że umarłego już. Omdlał tyl-

się z wartości materyału surowego, z częściowej wartości narzędzi, a nadto z wartości pracy produkującej. W przędzy lnianej np. mieści się wartość lnu, oraz część wartości przędzalni i prócz tego wartość pracy robotniczej; w płótnie występuje wartość przędzy, część wartości maszyny tkackiej, a nadto wartość pracy tkacza; w sukni płóciennej znajduje się wartość płótna, oraz część wartości igieł i nożyc, a nadto wartość roboty krawieckiej. Im więcej potrzeba pracy do przygotowania pewnego towaru z materyału surowego, tem większą jest jego wartość zamienna. Bywa wprawdzie praca różnej wartości, jest robota prosta i taka, która z techniczną dokonywa się biegłością; to jednak nie wpływa na ustalenie ogólnych zasad, ponieważ każda ilość pracy wprawnej daje się wyrazić przez podwójną, dziesięcioraką, albo sto razy wziętą ilość pracy, czyli innemi słowy, ponieważ wartość pracy wprawnej zawsze może być zredukowaną do takiejże wartości, jaką ma prosta. Kto produkuje i sprzedaje towary, w czynnościach tych szuka zysku, chce osiągnąć przewyżkę wartości (Mehrwerth). Jakim to przecież sposobem stać się może, skoro wartość gotowego towaru nie mieści nic innego, jak wartość środków do pracy użytych i tejże pracy produkcyjnej? Za obie te wartości płaci fabrykant: jeżeli więc wpływ ze sprzedaży towaru nie przynosi mu potem nic więcej, nad sumę owych wartości, następuje kompensata, i przewyżki wartości, korzyści rzeczywistej nie otrzymuje. Pomimo to codzień widzimy, jak przemysł tworzy nowe wartości i bogactwo narodowe znakomicie podnosi i pomnaża. Skąd pochodzi ta przewyżka wartości. Jest ona wytworem pracy. Praca tworzy większą wartość zamienną, aniżeli sama kosztuje. Ale co dla robotnika samodzielnego staje się źródłem wciąż nowych wartości, wciąż nowej siły żywotnej, to dla będącego w cudzych usługach zamienia się na rabunek. I w tym punkcie właśnie Marx występuje z oskarżeniem przeciwko kapitałowi. Kapitalista, powiada, sam nie pracuje, ale zatrudnia robotników najętych. Jako wynagrodzenie płaci im wartość zamienną, albo cenę targową ich siły roboczej. Wartość siły roboczej reguluje się według tych samych praw, co każdego innego towaru, według ilości czasu i siły użytych na jej dokonanie. Wartość dzienna siły roboczej przeto równa się wartości środków do życia, których dziennie potrzebuje robotnik na utrzymanie siebie i rodziny. Dalej znów cena targowa tych środków zależną jest od czasu roboczego, potrzebnego na ich wyprodukowanie. Jeśli przyjmiemy więc że pod pewnymi warunkami na dostarczenie owych środków do życia potrzeba sześciu godzin pracy przeciętnej i również sześciu na przygotowanie jednego talara srebrnego, dojdziemy do wniosku, że normalną ceną targową siły roboczej za dzień jeden jest talar. Za płacę tę więc robotnik sprzedaje kapitaliście całą siłę swoją na dzień cały i dostaje za to wszystko, czego słusznie żądać może podług ogólnych praw wartości zamiennej. Lecz jakto? — zapytuje Marx. Co to za handel szczególny? sprzedaje siłę swoją za talara, to jest za produkt sześciu godzin pracy przeciętnej i w zamian za tę cenę oddaje pracę swą produkcyjną z całego dnia, z dwunastu godzin? Tak! Wartość zamienna pracy mniejszą jest, aniżeli jej wartość użytkowa, koszta jej utrzymania mniejsze są, aniżeli usługi przez nią oddawane. W ciągu sześciu godzin robotnik, zamieniając bawełnę na przędzę, powiększa wartość pierwszej o talara, to jest akurat o tyle, ile mu płaci fabrykant za wysiłki dnia całego. Pracuje on wszakże potem jeszcze sześć godzin, a dochód z takowych bez żadnego wynagrodzenia zagarnia fabrykant. Osiąga on zysk ten za pomocą cudzej pracy niezapłaconej. Oto, co stanowi wyzyskiwanie robotnika przez kapitalistę, oto tajemnica pomnażania się kapitałów własną ich siłą. Podczas kiedy nie ma mocy ziemskiej, któraby z niczego potrafiła zrobić coś, tu przy obrocie kapitału 100 talarów zamienia się na 200 i z niczego pozornie tworzy przewyżkę. Rozwiązanie zagadki w tym razie równie prostem jest, jak odrażającem. Kupuje się za 100 talarów cudzej pracy, która ma własność dostarczania wartości 200 talarów. Pocieszający ten proces powtarza się codzień, z dziesięciu, stu, tysiącem robotników. Przypuściliśmy, powiada Marx, że jeden talar płacy dziennej równa się wartości pracy sześciu godzin, tak, że wobec dwunastu godzin pracy na dzień, fabrykant bezpłatnie zyskuje zarobek drugiej połowy dnia. Jeśliby zaś przy zachowaniu tej samej normy wynagrodzenia rozciągnięto pracę dzienną z dwunastu do ośmnastu godzin, oczywista, że niezapłacona przewyżka wartości dla fabrykanta wzrosłaby w dwójnasób. I ten sam stosunek zachodziłby, gdyby wskutek ulepszenia maszyn robotnik miał możność wytworzenia wartości zarobku swego dziennego nie w ciągu sześciu, ale w ciągu czterech lub dwóch godzin. Dla fabrykanta wtedy znów by wynikło podwojenie lub potrojenie niezapłaconej przewyżki wartości. Skoro połączymy oba sposoby, tak, że przy coraz więcej ulepszonych maszynach coraz się zwiększa czas pracy—wyzyskiwanie robotników, przywłaszczanie pracy niezapłaconej w coraz gorszym wzrasta stopniu. Nic dziwnego, że kapitaliści gromadzą miliony, podczas gdy robotnicy coraz stają się nędzniejsi, coraz więcej wycieńczeni. Konkurencya pomiędzy kapitalistami samymi z gwałtownością siły przyrodzonej okropności te wciąż do większych podnosi rozmiarów: u kogo robotnicy pracują tylko przez dziesięć godzin dziennie, ten ostać się nie może wobec współzawodnika swojego, który im czternaście godzin pracować każe: ktoby im podwyższył płacę z talara na dwa, nie byłby w stanie produkować tak tanio, jak jego sąsiad, który tego nie zrobił.

Skoro raz dane są warunki zasadnicze położenia ogólnego, następstwa rozwijają się z szybkością niczem nie powstrzymaną. Okoliczność, że siła pracy człowieka (Arbeitskraft), nadająca wartość zamienną towarom, sama jest uważaną za towar—tłomaczy tu wszystko. W tym razie bowiem z pojęcia wartości zamiennej i towaru samo przez się wynika wyzyskiwanie i upośledzenie robotnika. Winien temu nie osobisty charakter kapitalisty, ale cały kapitalistyczny sposób produkcyi. Były czasy, w których wszyscy sami produkowali przedmioty własnych potrzeb, kiedy zatem wszyscy posiadali także potrzebne środki i narzędzia do pracy i kiedy o wartości zamiennej i towarze prawie mowy nie było. Od szesnastego wieku wszelako (Marx ma tu na względzie szczególniej Anglię), posiadacze wielkiej własności, dla przekształcenia ziemi swojej na pastwiska i lasy, tysiącami wypędzali dzierżawców swoich i najemników i przez to pozbawili ich dotychczasowych środków pracy. A ci, żeby utrzymać życie, wielkimi tłumami przybywali do miast i ofiarowywali usługi swoje kapitalistom. Kto zaś, zapytuje Marx, byli ci kapitaliści, jaką drogą doszli do pieniędzy? Byli to—odpo-

---

ko od potłuczenia się, bo spadł ze schodów stromych, biegnąc na ratunek. Leżał potem kilka tygodni sześćdziesięcioletni starzec, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogąc z bólu. Pielęgnowała biedaczka męża, a kaszel ostrzej szarpał płuca. Sama zapadła później na zdrowiu i łóżka opuścić nie mogła.

Były dwa domki skromne przy smolarni, jeden bliżej, drugi dalej od niej. W tym dalszym Żurba, folgując swemu popędowi budowniczemu, zrobił trzy milutkie pokoiki, przepierzywszy jeden duży. Wymurował sam huczący, o trzech bokach spadzistych ku środkowi, kominek. Tam zamieszkała żona. Przez jedno okno spoglądała na ładny ogródek, woniejący rezedą, floksami i lewkonią, a przez drugie — na kawał trzebieży, najeżonej pniami i smutnej. W sieni karmiła kury, a tuż obok, w chlewie pochrząkiwał wieprz ulubieniec i pies - przyjaciel zwijał się na słomie w kłębek. Upodobała ona wielce sobie to mieszkanie i zżyła się z niem.

Nadleśniczy Hołubowicz protegował rodzinę, pozostałą po ekonomie, i pozwolił jej zamieszkać w owym domku. Biedna kobieta! Tak się tem zgryzła, że nie było nerwu jednego i włókna w jej ciele, chorobą nadtoczonem, któreby nie drżały i nie cierpiały, jak w napadzie zimnicowym. Powietrze wtedy tchnęło grudniem, a ona, strapiona, dreptała około przenoszonych gratów do mieszkania męża. Przeziębiła się i dostała zapalenia płuc. Odtąd życie jej, przeplatane chwilami złudnego zdrowia i ożywczych, lecz spóźnionych nadziej, mknęło ku schyłkowi — czwałem. Cieszyła się myślą wyjazdu do starszego syna, co służył w drugim powiecie, w dobrach żony hrabiego Zazorskiego, i łudziła się odzyskaniem zdrowia pod dozorem lekarzów miasta gubernialnego. Na wiosnę jednak synowie jej, mieszkający w stolicy, pisali do braci swych i ojca — odbierając wzamian — listy z żałobną obwódką...

Żurba sam jeden pozostał, dotknięty boleśnie utratą towarzyszki. Reumatyzm, w więzieniu nabyty, doskwierał mu nieznośnie, hypokondrya dławiła coraz mocniej. Prócz czasopisma, które od brata miał darmo, abonował jeszcze kilka dzienników i tygodników za pieniądze zbywające. Czytał, wzdychając, pił dużo herbaty i fajki z ust nie wypuszczał. Pędził smołę dla swego chlebodawcy zawsze z jednaką gorliwością. Z szalem starym na szyi, z czapką zużytą na wyłysiałej głowie, w kożuszku zbrukanym smołą, sadzą i popiołem tytoniowym na grzbiecie, zgiętym siedmdziesiątką lat i w spodniach poplamionych atramentem, błyszczących na udach, chodził od kadzi do kadzi, od kadzi do rury, wspinał się stękając po schodach krętych na górę, zstępował na dół i budził robotników, gderząc. Nigdy ich nie przestraszał, żadnego nie uderzył, więc lubili go, choć zawsze podkpiwali zeń trochę, przedrzeźniając mowę i ruchy.

— To ci dyabli lach! Kiedy on wyśpi się?

— Aj, bracia, sokolęta! Takem dobrze zasnął, nie — taki zbudził...

— Tybyś tylko spał! W nocy spisz, w dzień spisz, kiedyż na słonko boże ta na miesiąc srebrny patrzysz?

— Nigdy!.. He, he, he... Czy dacie wiarę? Zadrzemałem, strach, jak smacznie, dzisiaj pod litrówką, aż tu, czuję, co za licho, szturga mnie ktoś to w łydkę, to w brzuch. Kiedy ja nie otworzę oczu, ta nie zerknę, aż tu ci nad samą głową stoi starczysko taj kijem mię maca. „Ach, ty huncwot jakiś — powiada — ach, ty obijboku jakiś! Siaki-taki! Chleb pański jesz, a obowiązku nie znasz?“ Zgłupiałem, dalipan.

Takie rozmowy wiedli między sobą robotnicy, przesiąknięci smołą i terpentyną, czarni od węglów.

Hołubowicz żywił wrogie uczucie względem Żurby, za to, że starszy syn jego miał zachowanie u dziedzica i dążył wyraźnie do zajęcia posady nadleśniczego. Dokuczał więc Żurbie, jak mógł, nie będąc w stanie dosięgnąć syna. Przygotował najdotkliwszy cios. Namawiał hrabiego, żeby smolarnie swe puścił w dzierżawę, nastręczył nawet żyda ku temu. Dziedzic dawał się nakłonić. Nie urzeczywistnił się jednak

wiada (znów przedewszystkiem Anglię mając na oku)—kupcy, którzy od czasu odkryć Kolumba i Vasco de Gamy rzucili się do handlu wschodnio i zachodnio-indyjskiego, negrów i malajczyków, z wołającą o pomstę do nieba, przemocą zamienili na niewolników i przywłaszczyli sobie pot ich i krew w kształcie zysków niesłychanych. Od samego początku więc nowoczesna potęga kapitalistyczna polegała na bezprawnem przywłaszczeniu cudzej pracy. Jednocześnie przekonano się o korzyściach systemu podziału pracy: jeżeli każdy z robotników wyrabiał tylko pewien rodzaj towaru lub pewną jego część, osiągano większą dokładność pracy, a tem samem obfitsze i większe wartości. System ten zawładnął obecnie światem całym. Nikt już prawie nie produkuje dla własnej potrzeby; rzemiosło każde wytwarza towary na zamianę. W miejsce wartości użytkowej, zamienna stała się panią produkcyi. Taki stan rzeczy tedy rozwija wszędzie podniesioną techniką fabrykacyi, a tem samem wzrastającą wciąż potrzebę udoskonalonych środków pracy, narzędzi i maszyn. Każda nowa maszyna zaś pozbawia chleba pewną liczbę samodzielnych dawniej robotników i zmusza coraz większe masy ludzi do zaprzedania swojej pracy służbie maszyny, służbie kapitalistów. W ten sposób proces pracy najemniczej z dniem każdym większe przybiera rozmiary. Jak temu zaradzić? Systemu podziału pracy usunąć już niepodobna; świat nie chce powrócić do stanu ubóstwa patryarchalnego. Pozostaje tylko jedna droga, a mianowicie pozostawić produkcyę przy stosowaniu podziału pracy, lecz jednocześnie przekazać wszystkie środki tej pracy, ziemię, narzędzia i materyały surowe, na własność ogółu i na rachunek tegoż prowadzić pracę we wszystkich gałęziach przemysłu.

Oto są wnioski, do jakich dochodzi Marx w tomie pierwszym swej pracy.

W tomie drugim zajmuje się procesem obiegowym kapitału i jego przemianami. Proces ten, podług niego, odbywa się w trzech stadyach. W pierwszem kapitalista zjawia się na rynkach towaru i pracy, jako nabywca, a pieniądz jego zamienia się na towar. W drugiem następuje produkcyjne spożycie towarów nabytych przez kapitalistę. Działa on w tym okresie, jako wytwórca kapitalistyczny; kapitał jego przebywa fazę wytwórczości, a rezultatem jest to, że otrzymuje towary większej wartości, aniżeli miały pierwiastki użyte na ich wytworzenie. W trzeciem—kapitalista wraca na rynek, jako sprzedawca; towar jego zamienia się na pieniądze. Jakiekolwiek są formy produkcyi w społeczeństwie, czynnikami jej pozostają zawsze robotnicy i środki wytwórcze. I jedni i drugie jednak w stanie odosobnienia są czynnikami takimi *in potentia*. Aby wogóle produkować, muszą się połączyć. Sposób, w jaki to połączenie przychodzi do skutku, stanowi cechę odróżniającą od siebie rozmaite ekonomiczne epoki budowy społecznej. Środki wytwórcze, będące w posiadaniu kapitalisty, pozostają kapitałem jego i po za granicami procesu produkcyjnego, podczas kiedy siła robotnicza tylko w obrębie procesu tego przybiera kształty kapitału jednostkowego. Jeżeli siła wspomniana jedynie w ręku sprzedawcy swego, robotnika, jest towarem — natomiast kapitałem staje się ona jedynie w ręku nabywcy swego, kapitalisty, któremu przypadło czasowe jej użycie. Same środki wytwórczości przybierają rzeczoną postać kapitału produkcyjnego jedynie od chwili, gdy wcieloną w nie zostanie siła robotnicza, jako uosobienie kapitału. Podobnie więc jak praca ludzka z natury nie jest kapitałem, tak samo nie są nim i środki wytwórcze. Otrzymują one ten specyficzno-społeczny charakter jedynie pod pewnymi historycznie rozwiniętymi warunkami, równie jak pod takimi warunkami tylko wyciśniętem zostaje na szlachetnych kruszcach piętno pieniędzy, lub na pieniądzach piętno kapitału pieniężnego.

(D. c. n.).

Ad. J. Cohn.

LITERATURA ANGIELSKA.

M. J. Savage, **The Morals of Evolution.** Boston, 1885.

Jest to zbiór nauk niedzielnych kaznodziei angielskiego, lecz nie mają one nic wspólnego z tem, co my nazywamy kazaniem. Są to naukowe, w pięknej formie wypowiedziane wykłady, a autor ich należy do postępowych zwolenników Spencera. Przewodnią nicią jego wywodów jest twierdzenie, że moralności nie zagraża wcale teorya rozwoju Darwina, owszem przyczynia się tylko do jej rozjaśnienia i potwierdzenia. O bogactwie poruszonych tu myśli dają wyobrażenie same nagłówki 12-tu rozdziałów: Czy warto żyć? — moralność i religia w przeszłości — o dobroci — uczucie zobowiązania — egoizm i altruizm — względność zobowiązania — moralność i poznanie — etyka i religia w przyszłości. Co się tyczy tej ostatniej, to zdaniem autora żadna religia z obecnych i przeszłych nie będzie panującą w przyszłości. „Życie religijne człowieka jest czemś wyższem, niż jakakolwiek z tych religij naszych. Wogóle nie powinniśmy na nie patrzyć z tego stanowiska, jakoby jedna z nich była bezwzględnie prawdziwą a inne fałszywe, tak samo jak nie uważamy jednej szkoły moralnej za jedynie piękną, innych za brzydkie.“

W wywodach autora widać wielką znajomość nowszej literatury. Za mało tylko uwzględniono różnicę między prawami natury a prawami moralności. Prawom natury podlega każda czynność ludzka, każdy więc czyn byłby dobrym, gdyby go usprawiedliwiała ta okoliczność, że jest zgodny z prawem natury. Wychodząc z tego stanowiska, uważa autor jedynie egoizm za kierownika życia. „Będzie to niezachwianą prawdą—powiada—i wszyscy w to wierzyć będą, że człowiek nigdy źle działać nie może, chyba z niewiadomości, z obłąkania, wogóle w stanie niepoczytalnym.“ Tem samem przyznaje Savage zupełną zgodność cnoty i egoizmu a poświęcenie, jak je zwykle pojmują, uważa za niemożliwe.

Stanowisko kaznodziei angielskiego oświeciłoby się najlepiej w porównaniu jego pracy z współczesnemi mowami niemieckiego teologa Saltera (*Die Religion der Moral*, Lipsk 1885), który apeluje ciągle do sumienia, chociaż także nie odrzuca nowszych zdobyczy naukowych. Wiele światła na ten przedmiot rzucają też wykłady M. Lazarusa p. t. *Ideale Fragen in Reden und Vorträgen*. Lipsk, 3 wyd. 1886.

J. Beddoe, **The Races of Britain—a Contribution to the Antropology of Western Europe.** Londyn, 1885.

Książka dr. Boddoe była oczekiwaną oddawna. Pierwszy jej zarys nagrodzono jeszcze w r. 1868, ale autor, niezadowolony z własnej pracy, poświęcił kilkanaście lat dopełniającym studyom i wydał dopiero

---

mściwy zamiar Hołubowicza, ale Żurba ile stąd miał niepokojów i zmartwień! Toć byt jego zespolony był ze smolarnią... Napisał biedak do dziedzica list długi i pełny żalu, przypomniał w nim swą długoletnią służbę. Pan przyrzekł, że nie zapomni o słudze ojcowskim.

Chlebodawca był człowiekiem słabej woli i wielkiej próżności. Gdy objął po matce dobra, oczyszczone przez nią z długów, wszyscy „ziemianie-obywatele“ oczekiwali od niego sprężystości w kierowaniu mieniem, spodziewali się odnaleźć w nim cechy charakteru matki. Byli jednak tacy, co powątpiewali.

— Matka jego odznaczała się oszczędnością i była kobietą przezorną — to dobry znak! Wychowywała go troskliwie — gadali jedni.

— Co matka! A ojciec był jaki! Marnotrawca i kobieciarz, opój i kostera — przeczyli drudzy. Jakie drzewo, taki klin.

Ci ostatni mieli słuszność. Z początku okazał nieco energii i samodzielności w poglądzie na sprawy gospodarcze — później, znudzony, wyjechał za granicę tracić majątek. Tam spotkał kobietę, córkę posiadacza ziemskiego, niegdyś bohatera w czasie zawieruchy krajowej... Była jedyną u ojca i ukochaną. Przyroda ją obdarzyła postacią okazałą, miała biodra i barki szerokie, wzburzające krew swym widokiem, wzrost wysoki. Z oczu, z ust, z drgań mięśni twarzowych i z każdego ruchu, namiętność paląca patrzała. Dobrobyt i ślepa miłość ojcowska wypielęgnowały ją na kobietę o wyobraźni wybujałej, kapryśną i żądną hołdów. Wychowała się w Wenecyi, śród strojów, czytając romanse. Taką to kobietę pojął sobie za żonę chlebodawca Żurby.

Dwór jego w Tupohladach uległ zmianom. Stary pałac został zburzony, a na jego miejscu stanął nowy, stokroć okazalszy. Zazorski w swych dokumentach wynalazł prawo do tytułu hrabiego, więc nad bramą wjazdową i na przyczołku pałacowym zawisła korona, zdobiąca herb „trójtrąb.“ Stolarze, slusarze, murarze i tapicerzy aż ze stolicy sprowadzeni byli do budowania. Wewnątrz—przepych! Pułapy nęciły szutkateryami kunsztownemi i bawiły malowidłami, meble lśniły złotem, dobrane barwą do obić ściennych. Lampy kosztowne, przyćmione, zwieszały się z sufitu w sypialni, napełniając ją zmierzchem, pobudzającym do snów miłych. Łazienki marmurowe wabiły do kąpieli... Wszędzie urok, woń, smak i bogactwo!

Pod taki to dach hrabia Zazorski wprowadził swą żonę. Trzy miesiące spędził z nią w majątku, w słodkich uściskach, i znać użyli rozkoszy do syta, gdy on, choć silnej budowy mężczyzna, dopiero przemocą, przez lekarzy oderwanym być musiał od niej. Zalecono mu rozłąkę kilkomiesięczną, kuracyę mleczną i pokarmy bardzo posilne... Nudziła się hrabina na wsi, tęskniła do życia wielkomiejskiego, do zagranicy. Mąż czuł taki niepohamowany do niej pociąg, że wijąc się u jej nóg, przyrzekał wszystko, co tylko każe, zrobić. W przejeździe więc przez stolicę bez namysłu pozwolił jej wydać trzydzieści tysięcy na stroje i bale. Sto kilkadziesiąt tysięcy rubli, połowę dochodu rocznego, wzięli z sobą, a po dwóch miesiącach rządca dóbr musiał dziedzicowi drugą przysłać. Tymczasem w kasie pustki panowały, nie było za co robotników do zasiania i sprzątnięcia zboża nająć, dawano im kwity tylko. Butwiały one od potu w zanadrzu chłopskiem, a gotówkę przyrzekano w przyszłości. Hrabina zaś wynajdywała coraz przedziwniejsze stroje ku podniesieniu swych wdzięków i była nienasyconą w uciechach nocnych i dziennych z mężem... Pieniądze się rozpraszały. Mąż zaczął długi zaciągać w banku ziemskim i las wycinać na sprzedaż nieopatrznie, za bezcen. Naprzód pani dostała rozstroju nerwowego, potem lekkiego obłąkania, a następnie leczyła się w domu zdrowia... Wyleczona, znowu ten sam tryb życia wiodła, a mąż nie miał sił pohamować jej — resztki jego woli utonęły w uściskach rozkoszy...

Długi prześcignęły połowę wartości majątku. Dochody roczne nie starczyły na opłatę procentów od pożyczki zaciągniętej. Nad głową hrabiego zawisła groza sprze-

obecnie. Owocem tych poszukiwań jest wyczerpująca etnografia angielska. Przyszli badacze będą mogli jedynie coś do niej dorzucić i coś poprawić, ale za podstawę przyjąć ją muszą. Ważność jej polega na tem, iż dr. B. trzyma się równomiernie metody historycznej, jak antropologicznej. Poznał on niedostateczność przypadkowych spostrzeżeń przy badaniu ras, postanowił tedy notować starannie kolor włosów i oczów, mierzyć szerokość i długość czaszki, oraz gromadzić dane statystyczne co do cech fizycznych ludności danej okolicy. Rezultaty jego usiłowań są zadziwiające. Poczynając od czasów przedhistorycznych, twierdzi, iż nic prawie nie wiemy o naszych poprzednikach z epoki mioceniecznej. Przyjmuje więc tymczasowo domysł prof. Dawkinsa, iż eskimosi stanowią pozostałość człowieka kopalnego, dalej znajduje widoczne ślady krwi mongolskiej w wielu mieszkańcach Walii i wschodniej Anglii. Przechodząc do długogłowej rasy neolitycznej i do ich szerokogłowych zwycięzców z wieku bronzowego, zapytuje, co się stało z pierwotnymi mieszkańcami, i wraz z kilku innymi antropologami dowodzi, iż zwycięzcy stanowili tylko warstwę panującą, a pierwsi stracili swobodę i pozostawali pod ich władzą. Kwestye te mające interes naukowy szczególniej zajmują Anglię ze względu na istotne pierwiastki rasowe, jakie utworzyły jej ludność i przeważały w rozmaitych okolicach.

Przy dzisiejszych warunkach znamiona miejscowe zacierają się coraz więcej, tem ważniejsza jest praca dr. Beddoe, gdyż pochwyciła je, zanim zniknęły.

R. Barry O'Brien, **Tifty Yaers of Concessions to Ireland**. Londyn 1885, tom drugi.

Przed dwoma laty O'Brien wydał tom pierwszy swego ważnego dzieła, a w nim zajmował się wychowaniem, sprawami duchownemi, ustawodawstwem o ubogich i reformami municypalnemi do roku 1840. W drugim tomie przedstawia postęp praw dotyczących Irlandyi aż po rok 1881, gdyż przeciąg czasu przez niego objęty zaczyna się pierwszemi ustępstwami w r. 1831.

Książka jego jest czemś więcej niż studyum nad tym pół wiekowym okresem, gdyż chcąc go uczynić zrozumiałym, kreśli historyę dwustu lat ucisku, jaki Anglia wywierała nad Irlandyą. Jest to więc szereg studyów wyczerpujących o każdej stronie życia politycznego i ekonomicznego. Autor waży i sądzi ściśle, umie nawet ustrzedz się stronności, jakkolwiek wypowiada wyraźnie swe uczucia patryotyczne. Kończy zaś gorącem pragnieniem porozumienia się; stan bowiem obecny, jak wiadomo, jest groźny i tchnie tymczasowością. O'Brien nie wypowiada, na jakich zasadach porozumienie ziścić się może, gdyż, według niego, przechodzi to jego zamiary; przypomina tylko, że wszelkie usiłowania, przeszczepienia do Irlandyi urządzeń angielskich nie udały się i doprowadziły rząd do rezultatów opłakanych, a doświadczenie wykazało słuszność skarg i żądań Irlandyi. Jeśli więc pokój ma być przywrócony, należy dać jej samorząd i postawić u steru ludzi, posiadających zaufanie publiczne i będących wyrazem opinii kraju.

O. C. Cotterill, **Suggested Reforms in Public Schools**. Londyn 1885.

Autor powstaje energicznie przeciw całemu dzisiejszemu szkolnemu systematowi, żąda najzupełniejszej jego reformy, i to nietylko co do nauk samych. Główne zarzuty jego są następujące: Uczniowie zbyt wiele czasu poświęcają książkom, egzaminatorzy więcej zwracają uwagi na pamiętanie faktów, niż na rozwój umysłu, szkoły zwykle służą wyłącznie niektórym warstwom ludności, a tym sposobem, zamiast dążyć do zjednoczenia klas, silniej jeszcze utwierdzają ich rozdział.

Czytając wywody autora, dobrze obeznanego ze szkolnictwem angielskiem, nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście nauczyciele tam tak ślepo hołdują rutynie i tak mało posiadają zmysłu pedagogicznego, iż nie czują wadliwości systematu, którym się rządzą?

Jeśli tak jest rzeczywiście, książka Cotterilla jest bardzo na czasie, autor daje wiele wskazówek praktycznych zarówno względem strony umysłowej jak fizycznej wychowania, a te ostatnie zastosowane są głównie do klimatu i obyczajów angielskich.

Zarzuty przecież, jakie czyni zbyt uciążliwym programom nauk, stosować się mogą do wszystkich szkół bez wyjątku. Twierdzi on, iż tylko chłopcy, obdarzeni wyjątkowemi zdolnościami, mogą zdać egzamina dojrzałości, bez szkody na zdrowiu. Uzdolnienie przeciętne musi albo przygotowywać się do nich oddzielnie, co nie dla każdego jest możliwe, albo też przypłacić chorobą lub wycieńczeniem w nadmiernej pracy mózgu.

F. B. Sauborn, **The Life and letters of John Brown**. Londyn 1885.

Szczegółowa biografia nieprzyjaciela niewolnictwa, który życiem i śmiercią stwierdził swoje zasady, opisuje jego uczucia myśli, czyny, i okrutny wyrok, wydany przeciw niemu na hańbę nowego świata. Książka stanowi ważny i ciekawy zbiór wiarogodnych dokumentów o jednej z najszlachetniejszych postaci naszego wieku.

Edwin Pears, **The Fall of Constantinople, being the Story of the Fourth Crusade**. Londyn, 1885.

Edwin Pears ma swój oryginalny pogląd na upadek państwa, reprezentującego w danej chwili najwyższą cywilizacyę, które dało Europie pierwszy kodeks prawny, a pogląd ten przeprowadza przez fale wypadków. Dowodzi on, iż prawdziwym powodem upadku państwa Wschodniego było rozwielmożnienie się żywiołów łacińskich, dzięki wojnom krzyżowym. Autor, kreśląc rozpaczliwy obraz jego stanu, wchodzi w najdrobniejsze szczegóły stosunków wewnętrznych i zewnętrznych. Krzyżowcy znaleźli się niespodzianie wobec tej wyrafinowanej i zgniłej cywilizacyi, stanowiącej dla nich nowość zupełną, olśniła ich ona i zgangrenowała. Konstantynopol było to nadewszystko miasto kupieckie, i jako takie miało ściśle stosunki handlowe z Wenecyą, a przytem oba grody posiadały wspólnego nieprzyjaciela w saracenach. Nie dziw więc, iż Wenecya wzięła tak wielki udział w czwartej krucyacie, której cały przebieg, walki, intrygi Pears opisuje. W intrygach mistrzem był stary doża Dandolo; on jeden zresztą miał plan obmyślony i dążył wytrwale do jego spełnienia; nie dziw więc, iż Konstantynopol dostał się w ręce krzyżowców, a wówczas nawet papież Innocenty III, który starał się zapobiedz zdobyciu państwa greckiego, uznać musiał fakt spełniony i miał nawet nadzieję, że będzie to krok wstępny do zajęcia Palestyny. Zapewne cel ten byłby został osiągnięty, gdyby Europa działała z większą jednością—tak przynajmniej twierdzi autor.

Dziwna rzecz, jak historya powtarza się względnie do Konstantynopola. Dwa razy stał on u szczytu potęgi, i dwa razy dostał się pod władzę obcego narodu handlowego.

---

daży dóbr przez bank. Zjawili się już nabywcy, ludzie nowi, bogaci przez zabiegliwość swą, przezorność, spryt lub giętkie sumienie i kark. Czekali tylko hasła banku, gotowi folwarki hrabiego kupować. Śród oficyalistów Zazorskiego powstał popłoch, skrzętniejsi rwali, co mogli, a nie posiadający tej cnoty — drzeli o jutro. W całym powiecie współziemianie utracili wiarę w hrabiego i przepowiadali dzień zagłady jego mienia. Wieść o marnotrawstwie Zazorskiego rosła i nie mieszcząc się w powiecie, ogarnęła gubernię, a zwiększona jeszcze przez dodatki każdej głowy, do której wstępowała w przelocie, olbrzymia, obiegała kraj cały. Jeden tylko Żurba nie chciał dawać wiary w upadek bliski chlebodawcy swego. Pędził smołę, palił fajkę, pił herbatę, czytał dzienniki, a gdy go kto zaczepił: „Zazorski bankrut!“

— Śmiej się pan z tego! — odpowiadał. Taki magnat nie łatwo upada!

— Ależ, panie! Lada dzień — sprzedaż przez licytacyę. Co pan poczniesz na stare lata?..

Taką miał ufność w niespożytość dziedzica i jego dóbr, gdzie trzydzieści lat wysłużył, że ani chwili nie wątpił o oporze hrabiego wszystkiemu, co mu zagrażało, lecz, niestety! pożreć go nie mogło.

Mocno go jednak przygnębiła jedna okoliczność. Przyjechali agenci banku. Była to zapowiedź bliskiej ruiny majątku Zazorskiego. Wtedy zgryziony, lecz ze szczyptą nadziei w sercu, taki list napisał do syna, co w stolicy kształcił się:

„Zupełna ruina i upadek Zazorskiego jeszcze czas nie mały pociągnie, a może, przy dobrym ładzie jeszcze się i podźwignie, ale to bieda, że tego ładu niema! Tu trzeba człowieka w starszym wieku, nie wietrznika, ale gospodarza, znającego się na wszystkiem, a złodziejami, akrobatami, berejterami, geometrami i artylerzystami tego nie dokaże. Przytem najważniejsza, aby sam dziedzic wstrzymał się od marnotrawstwa, rozpatrzył w interesach i zrobił pewne postanowienie, ale do tego daleko! Dziś czas po temu wielki, bo każdy rwie ile może, plotek, gawęd — co niemiara! Codzień ktoś jaki folwark kupuje i kupić nie chce, bo fortuna pod bankiem. Jak dalej będzie, nie wiem. W siedmdziesiątym pierwszym roku życia już szukać posady niepodobna. Pisałem do Zazorskiego, lecz odpowiedzi nie mam. Jeśli hrabia upadnie, wielu na tem ucierpi. Pamiętasz starego Wojtkiewicza, co dzierżawi Robiń? Położenie jego najgorsze, bo w razie czego, wszyscy posesorowie mają kontrakty notaryalne, on, prócz dwóch wierszy od Zazorskiego, więcej nic niema. A już bardzo się posunął i na tym świecie już mało mu się należy. Całuję cię, ściskam i błogosławię. Twój ojciec.“

Syn mu odpisał ze współczuciem, wyrzucając wadliwość i niesłuszność urządzeń ludzkich i przytem bardzo gorzko i złośliwie.

Wybiła godzina upadku Zazorskiego — bank sprzedał majątki. Zamęt wielki nastąpił na obszarze ziemi, niedawno do chlebodawcy należącej. Folwarki pokupowali ludzie obcy, aż z za Dniepru. Handel rybami i szczeciną niegdyś ich zawodem był, przywiedli ze sobą służbę krwi swojej...

Żurba zaś sterany, siedmdziesięcioletni starzec, po trzydziestu leciech służby, opuścić musiał smolarnię. Z manatkami swemi, z reumatyzmem, szarpiącym jego ciało, szkapą najętą powlókł się do syna, gorzelnika. A syn, jako początkujący i młody jeszcze, brał szczupłe wynagrodzenie i niepewny był jutra. Dziś budował gorzelnię w jednym powiecie, a niebawem losy go mogły zagnać w inny powiat, w inną gubernię. Żurba zaś bardzo pożądał spokojnego kąta.

Tułacz nieszczęsny, bezdomny!

Z. (Komar) Pietkiewicz.

K O N I E C.

Robiąc tę uwagę, historyk czyni aluzyę do dzisiejszego stanu Turcyi, w której faktycznie rządy zostają w ręku mocarstw obcych.

P. G. Tait, **Properties of Matter**, Edynburg, 1885.

Własności materyi, najszerzej pojmowane, zajmują całą fizykę, chemię, a może i biologię; używamy jednak często konwencyonalnie tego wyrażenia w znaczeniu oderwanem. Wiele bardzo dzieł o fizyce rozpoczyna się od rozdziału, zatytułowanego „własności materyi,“ gdzie znajdujemy bardzo nieściśle określenia. Profesor Tait postanowił zapobiedz temu. W jego książce znajdują się jasne wykłady hypotez, dotyczących ostatecznego ukształtowania się materyi, nieprzenikalności, podzielności, bezwładności itp. W każdym z tych przedmiotów autor podaje zdania najznakomitszych i najświeższych pracowników; książka więc jego pełną jest ciekawych faktów i objaśnień, a prócz tego zapełnia szczerbę w piśmiennictwie naukowem angielskiem, tak przecież bogatem.

M.

LITERATURA I SZTUKA.

MICHAŁ CZAJKOWSKI.

II.

Literacka działalność Czajkowskiego według zdawkowej oceny dziennikarskiej, była do 1872 roku jędrną, samodzielną, pełną życia i siły, podczas zaś lat ostatnich w utworach jego widziano tylko „nienaturalność i przesadę, dochodzącą aż do fałszu“ „dziwaczne gadaniny przeżytego moralnie i fizycznie człowieka.“ Gdyby ta zmiana sądu była wynikiem rozwoju krytycyzmu w dziennikarstwie naszem, nie zaznaczaliśmy by jej wcale. My, co nie byliśmy nigdy ani wyznawcami mistycznych przepowiedni, ani wielbicielami logicznych i stylowych cudactw, możemy wydawać wyrok, pozbawiający Czajkowskiego nie tylko przywilejów, ale wszelkich praw w literaturze polskiej; zrozumieć wszakże nie mogę z jakiej zasady wychodzą ci, którzy niedawno jeszcze Wernyhorę malowanego nazywali „wcieleniem historycznej myśli narodu,“ a Wernyhorę pisanego mianują dziś gadaniną dziwaczną, chociaż zachwycali się tym utworem przed laty trzynastu? Niema wątpliwości, że sądy te opierają się na argumencie, który łatwo zrozumieć można, lecz który w wyrokach literackich nie powinien mieć żadnego wpływu. Zwłaszcza zaś nie mogę pojąć tej zaciekłości w ludziach i pismach, z więcej niż chrześciańską pobłażliwością oceniających obywatelskie i literackie czyny świeżych nowochrzeńców zdrowego rozsądku, którzy niwę piśmienniczą orzą w dwie skiby: jedną — „rodzimych zasad“ i czci dla domowych bogów, drugą — płatnego paszkwilu przeciw tymże zasadom i bogom, którzy przedstawiają mieszaninę najrozmaitszych żywiołów, słowem, półpsa, pół-kozy, przyczem owa koza, czy też pół-koza beczy melodye patryotyczne a półpies węszył starannie przedmioty dla literatury poufnej.

Zaznaczona poprzednio kilkoma rysami charakterystyka osobistości Czajkowskiego jest kluczem do oceny naszej stanowiska jego w piśmiennictwie polskiem. W składzie jego umysłu, w uczuciach i zewnętrznych ich objawach nie znajdujemy wcale cech plemiennych narodowości naszej. Pozostając on jednak pod silnym wpływem obyczajowych i duchowych czynników kultury polskiej, ale w miarę słabnięcia węzłów, łączących go ze społeczeństwem, w miarę wzrostu wpływów otoczenia tureckiego, w którem ta wschodnia dusza znalazła się jak w rodzinnym żywiole, wpływ czysto zewnętrzny zaciera się pomału i znika wreszcie zupełnie prawie, od czasu do czasu tylko odbijając się w osłabionej pamięci starca wspomnieniami lat dawnych, wyłącznie prawie zamkniętemi w dziedzinie wrażeń żołnierskiego żywota. Dla nas Czajkowski jest tylko ciekawym okazem w piśmiennictwie polskiem, wciśniętym mechanicznie w jego ściśle powiązaną, organiczną całość. Ponieważ zaś talent pisarza nie przerósł średniej miary, nie przedstawia więc działalność jego literacka żadnych powodów do szczegółowej i obszernej oceny.

Wspomnieliśmy jednak, że wpływy kultury polskiej odbiły się na działalności piśmienniczej i politycznej Czajkowskiego. Jego Wernyhora jest artystyczną ewangelią tego chorobliwego marzycielstwa pokolenia rozbitków i tułaczy, doprowadzonym do niedorzeczności programem odbudowania Polski za pomocą cudów i niemniej naiwnej wiary w pomoc zewnętrzną. Dla nas to oczekiwanie wielkiego boju na mogile Perypiatychy lub wodopoju koni tureckich w Horyniu wydaje się majaczeniem nieszczęśliwego szaleńca, w swoim czasie było ono jednak poważną wiarą ludzi poważnych. W utworze Czajkowskiego, dzięki jego wschodniej, konkretnej wyobraźni mistycyzm polski przybiera kształty — nie powiem realne — ale do kształtów rzeczywistości podobne.

Dziwacznem było również życie człowieka. Urodzony w 1807 r. Czajkowski bierze udział w powstaniu 1830—31 r., jako oficer w oddziale Różyckiego, złożonym wyłącznie prawie z ukraińców. Na emigracyi usiedzieć spokojnie nie może, miesza się czynnie do intryg i zajść między różnemi partyami, na jakie rozpadło się wychodźtwo polskie, wreszcie wyjeżdża do Turcyi, wstępuje do służby wojskowej i przyjmuje islam. Zostaje wkrótce dowódcą kozaków otomańskich, tworzy rozmaite legiony, intryguje, wichrzy, wreszcie zostaje paszą, zdobywa wpływ na dworze, staje się prawie turkiem. Około 1870 r. z pobudek osobistych zbliża się do posła rosyjskiego, wreszcie otrzymuje amnestyę i wraca do kraju. Ani w *Credo* swojem, ani w późniejszych artykułach nie wyjaśnił należycie pobudek tego kroku, ale jakiekolwiek są one, zwrot w życiu i przekonaniach Sadyka-paszy nie jest czemś zagadkowem, owszem wypływa naturalnie z charakteru jego.

Z imieniem Czajkowskiego związane jest imię kobiety nie mniej dziwacznej, którą w literaturze polskiej uwiecznił jeden z największych naszych poetów— Ludwiki Śniadeckiej, owej Ludki Słowackiego. Owa „Safona polska“ jak ją ironicznie nazywa dawny wielbiciel:

> Poszła więc szukać na warneńskiem polu
> Zwłoki—a uszy—w Konstantynopolu...
> I przyszła smutna nad brzegi Marmora,
> Kędy osobne biuro statystyczne
> Liczyło uszy z ranka do wieczora,
> A oddzieliwszy od niezgrabnych—zgrabne,
> Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

Nie wiemy o szczegółach poszukiwania uszu kochanka przez Safonę polską, ani o dziwacznych kolejach jej życia, ale wiemy tyle tylko, że utuliła żal swój w haremie Sadyka-baszy.

Pierwszym utworem Czajkowskiego są *Powieści kozackie*, wydane w 1837 r., dalej idą *Gawędy* (1840), *Anna*, powieść obyczajowa (1841), *Koszowata*, *Stefan Czarniecki*, *Hetman Ukrainy*, *Szwedzi w Polsce*, *Wernyhora*, *Kirdżali*, *Nowe powiastki i gawędy*, wreszcie *Bulgarya* i *Niemolaka*, ten ostatni wyszedł w Lipsku u Brockhausa już po powrocie autora do Rosyi. W ostatnich latach życia Czajkowski mieszkał pod Kijowem w majątku własnym, pisywał zaś wyłącznie tylko do pism rosyjskich: *Kijewlanina*, *Moskowskich wiedomosti* i *Rusi*. O utworach tych wspomnieliśmy już powyżej, tutaj dodamy tylko, że pisał je po francusku, rosyjskiego języka bowiem nie znał dobrze. W rękopiśmie pozostawił obszerne pamiętniki, (po polsku), które dostarczą zapewne ciekawych szczegółów do charakterystyki autora, ale jako materyał do dziejów epoki, z góry można powiedzieć, posiadają wątpliwą wartość, bo Czajkowski, jak prawdziwy człowiek wschodni, bardzo często świadomie, częściej jeszcze bezwiednie mija się z prawdą.

W wzmiankowanem *Credo* swojem zmianę przekonań objaśnia pochodzeniem i sympatyami kozackiemi, podręczniki zaś literatury polskiej zaliczają go do szkoły ukraińskiej. Należy więc o tem kilka słów powiedzieć. W powieściach swoich jest on rzeczywiście wielbicielem kozaczyzny, zwłaszcza Zaporoża, ale nie rozumie wcale Ukrainy. Ta na pół wschodnia a na pół szlachecka kozaczyzna posiada dla niego wiele uroku, bo odpowiada wybornie jego naturze. Nie miejsce tu wykazywać tej sprzeczności, jaka leżała w dążeniach i charakterze kozactwa a ludu ukraińskiego, zaznaczymy tylko, że kozaczyzna była zupełnie pokrewnym objawem z szlachetczyzną polską. Wystarczy nam to dla zrozumienia sympatyi Czajkowskiego do przeszłości hetmańskiej i obojętności zupełnej dla dzisiejszego chłopskiego odrodzenia Ukrainy. Ani dążenia, ani piśmiennictwo ludowe ukraińskie nie doczekały się słówka serdecznego współczucia od wielbiciela drapieżnych tryumfów pp. atamanów, pułkowników i esaułów.

Zbierając rozproszone uwagi nasze, streszczamy je w krótkiem określeniu działalności politycznej i literackiej Czajkowskiego: był on dla nas obcym, zarówno wtedy, kiedy pisał przepowiednie Wernyhory, jak i wtedy, kiedy głosił *Credo* swoje, obcym w pojęciach, w uczuciach, w istocie i objawach swej twórczości. Związek jego z umysłowością polską jest jedynie formalny, pozorny. I doprawdy nie widzimy dlań miejsca nietylko w naszej literaturze; wyłącza go rodowita Ukraina i nie może do Panteonu swego przyjąć naród rosyjski. Imię jego pozostanie gdzieś na uboczu, jak mogiła samobójcy. Jeżeli można mówić o szkodzie, jaką nam wyrządził, to zaprawdę stokroć szkodliwszym jest jako autor *Wernyhory* itp. utworów, aniżeli jako dziwaczny publicysta na schyłku wieku. Już przed laty kilku, mówiąc o występach jego w *Rusi* dodaliśmy, że litość tylko budzić może schorzały starzec, który majaczy sam, nie wiedząc co, i dobrodusznie odgrywa rolę „prawdziwego patryoty polskiego.“ Artykuły Czajkowskiego znalazły się w tym czasie, kiedy w dziennikarstwie rosyjskiem modną była sprawa polska i każde pismo starało się o własnych, lichych, co prawda, ale tanio nabywanych „szanownych patryotów polskich,“ których—jak wiadomo, na każde żądanie za liche pieniądze dostać można między „korzennymi“ ziomkami naszymi. Czajkowski w chórze tym był przynajmniej szczerym. O tem świadczy chociażby list jego ostatni do redaktora *Swietu* ogłoszony przez wszystkie gazety, w którym zwraca się z wyrzutem do dawnych swych sprzymierzeńców w prasie rosyjskiej, że „boleśnie ranią najświętsze uczucia polaków“ i potem jeszcze myślą o pojednaniu.

Rzecz dziwna, najmocniejsze obelgi spadają na mogiłę Sadyka-baszy z tych ust, które kiedyś śpiewały:

> Czyja jeszcze nie dolana,
> Dolewajmy czaszy,
> Wypijmy zdrowie sułtana
> I Sadyka baszy.
> A od Karpat aż do Dźwiny
> Zabrzmi głos weselny,
> Żyj Czajkowski, żyj nam dzielny
> Wodzu Ukrainy.

My, którzy nie wierzymy w cuda, chociażby za sprawą łaski sułtańskiej, ani w objawienie improwizowanych proroków — nie potrzebujemy plwać na stare bogi, które dla nas nigdy nie były przedmiotem kultu. Dla nas Czajkowski był liściem, który wiatr kapryśnego trafu oderwał od jakiejś zamierzchłej epoki i obcej rasy, i przykleił do naszej odrębnej indywidualności.

W—t.

St. Budziński. **Z obcego Parnasu**, Warszawa, nakł. Gruszeckiego.

Soter Rozbicki zostawił tak liczne potomstwo duchowe, że z podziwem i radością witamy każdy hołd złożony prawdziwej poezyi. Z równąż przyjemnością bierzemy do ręki zbiór rymowanych utworów, przyswojonych literaturze naszej przez p. Stanisława Budzińskiego. Właściwie należałoby powiedzieć „przypomnianych," gdyż spora ich część mniej lub więcej dawno spolszczoną już została. Dotyczy to poematów Schillera, drobniejszych wierszy Goethego, Puszkina (*Oniegin*), miłosnych szeptów Heinego. Ale też znajdujemy tutaj wiele ładnych rzeczy mało u nas poczytnych pisarzów, jak: Geibla, Padury, Lermontowa, Tegnera, Jana Reboula, Andersena, Egona, Eberta i dziesiątka innych śpiewaków. O ile jednak ta wiązanka bogatą jest w treść, o tyle trudno dopatrzeć w niej jakiegoś szczególnego kierunku, jakiegoś wyraźnego gustu artystycznego — myśli przewodniej. Towarzystwo to najróżnorodniejsze! Występują tu: głodna dola malarza obok sytej miłości, zapał i wichura stepowa zaporoskich mołojców obok znudzonego cywilizowanym światem bajronisty, buta mściwego Chadży Abreka obok baraniej i ultra-chrześciańskiej pokory słynnego zwycięzcy smoka. Jednakże we wszystkich czuć pewien rys wspólny a tym jest podeszły wiek... utworów. Sięgają one niekiedy dość odległych lat, a nie należą do tych wielkich ducha ludzkiego objawów, które nigdy w literaturze nie spleśnieją, ale wiecznie młode i potężne zawsze cześć wzbudzają. Książkę swą p. Budziński zapełnił poematami mniejszych rozmiarów, poniekąd ulotnymi: robi ona też wrażenie, jak gdyby pisana była jedynie w chwilach wolnych od uciążliwych zajęć a praca nad nią zastępowała autorowi wywczas. Istotnie p. B. jest w literaturze nadobnej zaledwie poważniejszym dyletantem, a opinia zna go bardziej jako zasłużonego i rozumnego prawnika, niż jako poetę, pomimo że nie od dziś, wziąwszy muzę pod rękę, wchodzi na stromy Parnas. I tym razem wędrówka poetyczna powiodła się autorowi nie źle. Przeszczepienie na grunt swojski kwiatów poezyi wyrosłych gdzieindziej, w najrozmaitszych zakątkach Europy, odbyło się bez gwałtu. Wiersz ponajwiększej części czyta się łatwo, rymów banalnych również nie zanadto, ale za to są mocno naciągane, jak: „łące" i „słońce," „rosnące" i „słońce." Wogóle słońce niema osobliwego szczęścia do autora, który mu nader często dobiera wcale nieodpowiedniego bliźniaka, na czem niesłychanie cierpi harmonia rymów. Nie brak też zwrotów stylowych całkowicie chybionych a niekiedy niesmacznych i wprost nieprawidłowych, jak: „wzniecić pokój," „tyś urodzony prawdziwy artystą," „tęsknota w mojem sercu się wzniecila" (81), „przepadł się świat cały," „prosto chytrością nie radź" (183) itp. Najbardziej w podobny kąkol obfitują romantyczne strofy Heinego, którego, zdaniem naszem, tłomaczyć z poetyckimi błędami jest daleko gorzej, niż wcale nie tłomaczyć. A chociaż to Romanzero w rzeczie swej nie nasuwa określonego zarzutu, jednak wieje zeń chłód i brak w nim tego wszystkiego, co odróżnia tak znamiennie uroczy liryzm Heinego od miłosnego kwilenia innych, a czytelnik, któryby wielkiego poetę giermańskiego chciał poznać z tego przekładu, dziwiłby się nie pomału jego sławie.

Lepiej o wiele udały się prof. Budzińskiemu przekłady z pieśni Tomasza Padury, pomimo że ich hulaszczy, dziarski, skoczny temperament nastręcza mnóstwo trudności; wybornie też wypadły wszystkie pieśni swobodne, junackim nacechowane duchem. Wogóle szczęśliwiej borykał się autor ze szkopułami poezyi pobratymczej, słowiańskiej, ale... i tutaj o tyle jedynie, o ile nie trącał strun wysokiego dramatyzmu lub głębokiego uczucia, na tym bowiem poziomie pozostaje bezsilnym. Zaznaczyć szczególnie wypada prawdziwie ładny przekład 1-ej części Eugeniusza Oniegina, zawierający słynną charakterykę „bohatera naszych czasów."

Dzięki patrocinie treści i temu, że nie masz w niej silniejszych, gwałtowniejszych porywów, śmielszych wzlotów natchnienia — bo tych ani wybrane wzory nie posiadają a jeśli i posiadają niektóre, to niestety pod piórem Budzińskiego zostały z nich ogołocone — dziełko całe robi wrażenie bardziej literackiej chrestomatyi niż życiodawczego źródła estetycznej rozkoszy. Dla tego, kto na chłodno bada literaturę, stanowić ono może dosyć cenny nabytek, ale tym, co zwykli zespalać się z poetą i przy czytaniu jego utworów wraz z nim radować się, cierpieć lub bujać po przestworach fantazyi, bynajmniej bicia serca nie przyspieszą.

Szkoda jednakże taką łatwość rymowania i niemałe bogactwo języka marnować na drobne cacka, gdy tyle wspaniałych, wielkich dzieł gieniuszu daremnie oczekuje gościnności w piśmiennictwie naszem. Wiedza autora i wielostronność, ów rzadki dar, przed którym schylić musimy czoło wobec wszechwładnego panowania specyalizacyi, a który pozwala p. Budzińskiemu poważne i suche zajęcia prawnika przeplatać wycieczkami w krainę piękna, godną jest pola szerszego i żyźniejszego nad te powabne, ale, bądź co bądź, nikłe drobiazgi.

N. Hirszband.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bukiet dla Windhorsta. — Liberalny jezuita i odważny człowiek. — Dobry wpływ ks. Bismarka na Warszawę. — Obojętność i drwina. — P. Lam poszukujący „kwestyi rusińskiej." — Choroba przewlekła i ostra. — P. Dykas umarł, niech żyje p. Dykas. — Brandes w Warszawie i znajomość literatury. — Ostrzeżenie dla kobiet.

Przed kilku laty, jadąc w wagonie i znudów czytając wszystkie wiadomości jakiejś gazety niemieckiej, z kolei trafiłem na taką: wczoraj z powodu imienin przywódca ultramontanów dr. Winhorst otrzymał mnóstwo telegramów; poseł Sonnemann przysłał mu olbrzymi bukiet. Drobne to doniesienie zdziwiło mnie bardzo. Dlaczego Sonnemann, żyd, przywódca partyi ludowej, radykalnie wolnomyślny, posłał w dzień imienin bukiet Windhorstowi, zajadłemu papiście, klerykałowi, człowiekowi, który gotów bronić wszelkiej skamieniałości religijnej? Było to w porze najgoretszego „kulturkampfu," kiedy „mała Ekscelencya," „perła z Meppen," stary, niziutki, jak jeż kolczasty a jak pokrzywa parzący przewodnik centrum wszystkie plagi świata tłomaczył niedolą kościoła i widział w nim jedyne zbawienie ludzkości. Wyznaję, że mimo całej odrazy do pruskich ustaw majowych, nie lubiłem tego krzyżowca. Pomału wszakże, gdy „kulturkampf" złagodniał a jego miejsce zajęła walka dłuższym zatoczona promieniem, mały Windhorst zaczął mi rosnąć, rosnąć, aż wreszcie wyrósł na olbrzyma, wobec którego t. z. „liberałowie" prusey wyglądali jak tchórze, przyczajone pod grzędami kurników. Starzec ten bowiem, nie schodząc ze swego stanowiska religijnego, umiał na niem wznieść się do takich wyżyn w pojmowaniu swobody, moralności, sprawiedliwości, tolerancyi, do jakich tylko umysły zupełnie z przesądów wyzwolone sięgnąć zdolne. Fanatyk katolicyzmu był najniefanatyczniejszym sędzią spraw ludzkich. Nie jest on wzorem człowieka, ani myśliciela, ale gdybym dziś chciał jakiemuś niemcowi posłać bukiet, posłałbym go Windhorstowi.

O ile nie przeszkadza karnawał, dotąd szczęśliwy w procesach z morałami a obecnie nieszczęśliwy w procesie z biedą, Warszawa myśli i mówi o Bismarku lub Windhorście. Uwrażliwił nas i nieco spoważnił. W charakterze naszym zarysowywały się coraz głębiej dwa znamiona, które do rumieńców życia nie należą: obojętność i drwina — obojętność na wszystko i drwina ze wszystkiego. Turek pogrążony w fatalizmie i lazzarone włoski — w próżniactwie nie umieją być tak apatyczni, jak my teraz jesteśmy. Ani religia, ani nauka, ani sztuka, ani zagadnienia społeczne — nic nam nie przyspiesza tętna, i nie ma dziś takiego prądu elektrycznego, któryby nami zdołał wstrząsnąć. Bismark posądza nas o chroniczną skłonność do rewolucyi — chyba w żołądku; mózg bowiem jest bezkrwisty. Jeżeli zaś uczuwamy chęć objawienia życia, to przedewszystkiem w kpinie. Nie posiadamy tak potężnego rozumu, ażebyśmy nim mogli burzyć i budować, ale posiadamy dość humoru, ażeby wszystko roztopić w żarcie. Mniej lub więcej ten szydzi z nieba, ów z ziemi, ten z wiary, ów z wiedzy, ten z św. Tomasza, ów z Darwina, ten z kościoła, ów z uniwersytetu. Okropnem, najgłupszem z głupstw jest śmiech płytki. Pojawia on się jako maska mądrości i szczęścia na twarzach, które chcą nim zakryć wewnętrzną pustkę i rozstrój. Taki właśnie śmiech brzmi obecnie na ustach naszych i w piórach bardzo często. Na wszelkie obrazy życia rzucamy światło fejletonowe: dowcip lub koncept oblicza się z upadkiem ekonomicznym, z bankructwami, z ubóstwem, z zepsuciem moralnem, z nieurodzajem w literaturze — tak samo, jak oblicza się z maskaradą lub wieczorem karnawałowym. Najtragiczniejszą sprawą umiemy się zabawić. Nareszcie ks. Bismark dał nam łamigłówkę, którą jeszcze próbujemy ułożyć wesoło, ale już śmiech nasz zaczyna marznąć, dowcip tępieć — rozmyślamy, czujemy poważnie. To wielka korzyść, to objaw pożądany! Nie chciałbym, ażebyśmy ruszali się tak surowi, jak figury nagrobkowe, ale niewątpliwie przydałoby się nam trochę mniej kpiny, która dziś z równą swobodą hula w sprawozdaniach z nauk przyrodniczych, jak w opisach balów. Życie wykłada nam prawdy bardzo poważne — lekkomyślnie śmiać się przy tych lekcyach nie można.

Z mniejszą przykrością czytalibyśmy piorunujące mowy ks. Bismarka przeciwko polakom, gdybyśmy jednocześnie nie musieli czytać niedorzecznych lub nieopatrznych mów polskich w sejmie galicyjskim i prasie przeciwko rusinom. Nie pora, ach, jaka to nie pora na takie błędy! Po znanych czytelnikom *Prawdy* rozprawach sejmowych, zabrała — jak zwykle — głos drwina. P. Jan Lam, który o tyle postąpił, że przed kilkunastu laty „poszukiwał narodu ruskiego," a teraz „poszukuje kwestyi ruskiej," a nawet ją czasem znajduje, tak dowodzi w *Gazecie polskiej*: „Do niedawna można było urodzić się,

wychować i postarzeć w Galicyi, a po za łamami dzienników nie spotkać się *nigdzie* z tą kwestyą, jeżeli się jej koniecznie nie szukało. I *dzisiaj* kwesya ta wchodzi nam najczęściej w drogę w ten sposób, że ją sami przyciągamy. I może ona *naprzykrzyć się* niejednemu rozsądnemu polakowi i rusinowi, gdy się o niej nasłucha takich dyskusyj, jakie się u nas najczęściej odbywają po wsiach i miasteczkach... *Dopiero* z korespondencyj i z telegramów do *N. F. Presse* dowiaduje się świat o przepaściach, które co chwila rozdzielają polaków od rusinów i grożą kataklizmami, tem straszniejszymi, gdy nikt, niepozbawiony zdrowego rozsądku, nie zdoła powiedzieć, co u nas tak okropnego stać się może. Wolno tedy fejletoniście, że użyję tu w części terminologii lekarskiej, zapatrywać się na sprawę ruską, nie jako na chorobę ostrą, ale jako na przewlekłą, której objawy są *słabego* natężenia, ale dokuczliwe swą... nielogicznością."

Co to znaczy mieć łyżwy z drwin dla ślizgania się po wierzchu życia! Koncept umie być tak wielki, że w potrzebie posłuży do zasypania przepaści między dwoma narodami. „Szlachcic, którego wiadomości historyczne są skąpem bardzo streszczeniem *Śpiewów* Niemcewicza i *Wieczorów pod lipą*," oraz „ksiądz, przesiąknięty na wskróś poezyami w duchu hajdamackim — oto (według Lama) strony wojujące," które tworzą „kwestyę rusińską." Stąd i rada humorysty nader prosta: „możnaby dać pokój swarom i zostawić rzeczy — niech idą swoim trybem." Zapewnie skutkiem współpracownictwa w urzędowej *Gazecie lwowskiej* szan. autor „Głów do pozłoty" przygotował do pozłocenia swoją. Jeżeli bowiem, „przebywając w samem niemal ognisku kwestyi ruskiej," dostrzega w niej tylko bzdurny spór szlachcica z księdzem, nie zaś poważny proces polityczny, to choroba jego publicystycznych oczu jest nietylko przewlekłą, ale i ostrą.

Ale wszystko to darujmy p. Lamowi (zwłaszcza że w tej chorobie należy go uznać nieuleczalnym) za pocieszającą wiadomość, jaką nam za pośrednictwem *Gazety polskiej* przesyła. Oto p. Dykas wypracował i darował Muzeum narodowemu drugi projekt pomnika dla Mickiewicza. P. Lam nietylko przypuszcza, że projekt ten, odbity w ilustracyach warszawskich, „sprawi wielkie wrażenie," ale nawet dziwi się, „że coś tak doskonałego mogło powstać właśnie we Lwowie." Betleem niegodne Mesyasza! A tym mesyaszem ma być znów p. Dykas? Niestety, Lam jest tylko humorystą...

Brandes dotrzymał przyrzeczenia i zawitał znowu do Warszawy z odczytami. Jak pisma głoszą, ma mówić o literaturze polskiej. Ktoś uśmiechnął się złośliwie z poznania literatury polskiej w ciągu roku i bez znajomości języka. Nie zaprzeczę, że takie krótkie i pośrednie badanie piśmiennictwa nie może być dokładnem i rozległem, ale gdyby Brandes przeczytał tylko wszystkie tłomaczenia z polskiego na obce języki, znałby literaturę polską lepiej, niż $^2/_3$ krytyków warszawskich— i nie warszawskich. Jeżeli sprawozdawca *Przeglądu społecznego* we Lwowie, który umie po polsku i uważa się za biegłego w sądzeniu ostatnich objawów myśli naszej, mianuje mnie „przedstawicielem *jedynie* liberalizmu mieszczańskiego," to wolno cudzoziemcowi piasek krytyczny na wiatr rzucać. Piasku nie spodziewam się po znakomitym autorze *Głównych prądów*, który nie jest łatwowiernym. Jeżeli nawet płeć piękna, która go rozrywa, na to liczy, niech będzie ostrożną i przeczyta sobie wprzódy jego artykuł w tymże *Przeglądzie lwowskim* o kobietach niemieckich. Brandes bardzo głęboko zagląda do serc i głów niewieścich. *Poseł Prawdy.*

NA WIDNOKRĘGU.

Trzy formy życzliwości dla pognębionego rolnictwa.— Clowny w Łodzi i clown w Radomiu. — Korespondenci inteligentni i po prostu piśmienni. — Termopile propinacyjne.

Smutny stan rolnictwa krajowego budzi współczucie powszechne. Wprawdzie objawia się ono w sposób nieco dziwny, no, ale każdy początek jest trudny. Skarżyli się rolnicy na koleje, że przewóz produktów surowych — jak np. zboża, drzewa itd. — kosztuje zbyt wiele. Zarządy dróg żelaznych udawały, że skarg tych nie słyszą, kiedy zaś głos wołających brzmiał donośnie—i wtedy odpowiadały tylko poważnem, wzgardliwem milczeniem. Ale wreszcie płaczliwa pokora przebiła pancerze akcyjne i przedarła się do uszu głuchych na wszelkie dźwięki, oprócz obietnicy wsparcia rządowego. „Jednakże, trzeba coś zrobić" powiedziały zarządy kolejowe i obniżyły taryfę przewozową dla... żelaza niemieckiego.

Pp. cukrownicy, jak wiadomo, w dzisiejszych ciężkich czasach troszczą się bynajmniej nie o dywidendy, ale o utrzymanie przemysłu, od którego zależą zyski rolników i zarobki ludności pracującej. Interesy plantatorów i robotników służyły dotąd jako środki kokietowania ministeryum skarbu i skłonienia go do wypłaty premium i innych wsparć różnego rodzaju i nazwy. Okazało się jednak, że najobfitsze zasiłki nie podźwigną dywidendy do poziomu „słusznej" 30% renty. Trzeba więc użyć innych jeszcze sposobów, w szeregu których na pierwszem miejscu stoi oszczędność w wydatkach. Dbałość o interesy pracowników podyktowała znany już czytelnikom naszym projekt zmniejszenia płacy robotnikom, teraz zaś niezaprzeczona gorliwość o dobro rolnictwa proponuje zmowę wytwórców w celu obniżenia ceny buraków. „Dobry przykład już dany" woła bezstronny (czy aby tylko bezpłatny!) obrońca przemysłu cukrowego, walczący nowym orężem argumentacyjnym. Bo, rozumie się, obywatelskim uczuciom pp. cukrowników nie chodzi w danym razie o poziome zyski, pragną oni tylko uprzystępnić ceny cukru uboższej ludności. Tymczasem prosty bardzo rachunek wykazuje, że zmniejszenie o połowę wygórowanych pensyj pp. administratorów a niekiedy i dyrektorów dałoby tę samą oszczędność. Nam znowu nie idzie wcale tak bardzo o plantatorów buraków, chcemy tylko wykazać, w jaki to sposób popiera się u nas rolnictwo w mowie i na papierze— a w jaki zaś—rzeczywiście. Pazurów nie należy nazywać objęciami a duszenia — uściskiem.

Biedny rolnik posiada nadmiar życzliwych opiekunów. Jeden z nich zabiera głos w *Tygodniu piotrkowskim* i jako środek zaradczy przeciw obecnemu przesileniu zaleca—ułatwienie procedury subhastacyjnej, która jest zanadto korzystną dla dłużników. Ekonomista piotrkowski sądzi, że taka względność prawa jest wprost szkodliwą dla dłużnika, przeszkadza mu bowiem w znalezieniu kredytu. Poprzednio już wskazywaliśmy, że jedną z ważniejszych przyczyn upadku własności większej jest właśnie zbytnie uruchomienie ziemi, która stała się przedmiotem częstej wymiany i spekulacyi na równi z dobrami ruchomemi. Myśl to nie nowa, wypowiedzieli ją dawno uczeni europejscy (Stein, Ihering itp.), nowsze prawodawstwo zaś stara się owszem utrudnić przechodzenie ziemi z rąk do rąk. W związku z tem stoi również sprawa kredytu rolnego, którego organizacya różnić się powinna zasadniczo od organizacyi kredytu przemysłowego lub handlowego. Ziemia nie może być porównywaną z dobrami wytworzonemi, jest ona jednym z dwóch czynników produkcyi i podobnież jak praca nie może być uważaną za towar tylko. Nie mówimy tu o dalszych konsekwencyach tego poglądu, zaznaczamy jednak, że w danym wypadku, podobnie jak w sprawie nabywania pracy, prawodawstwo nie powinno stosować zasad zwyczajnej umowy kupna— sprzedaży. Ograniczenia są tu również pożądanemi, idzie tylko o to, żeby nie miały znaczenia polityczno-społecznego (jak np. majoraty, oddzielne dobra szlacheckie itd.) ale czysto ekonomiczny. Zmiana w procedurze sprzedaży przymusowej nie uczyni kredytu tańszym, a przynajmniej w stosunkach naszych wszelki kredyt prywatny będzie zawsze dla rolnika za drogim. Jeżeli papiery wartościowe dają 5—6%, ziemia zaś nie przynosi zwykle większego dochodu, każdy kapitalista odda pierwszeństwo Listom zastawnym przed najpewniejszą hypoteką, chyba że ze stratą dla pożyczającego dostanie 1 lub 2% więcej.

Te trzy przykłady służyć mogą za ilustracyę do bajeczki o zającu, którego wśród serdecznych przyjaciół psy zjadły. Nazwałbym te objawy życzliwości urąganiem lub szyderstwem, gdybym nie wiedział, że najpotężniejsi finansiści i najlepsze głowy miewają czasem wybryki dobrego humoru.

Łódź jest przecie miastem bardzo „solidnem," t. j. właściwie posiada bardzo „solidnych" mieszkańców, a jednak w gronie tych poważnych osób powstała myśl urządzenia widowiska amatorskiego w cyrku. Królewięta bawełniane harcować będą konno, szanowni ojcowie, przypomniawszy sobie dawne czasy pokażą publiczności sztuki z psami, kilka „znanych powszechnie osób"—jak donosi *Dziennik łódzki*—podjęło się odegrać rolę clownów. Słowem, będzie zabawa, jak należy, spodziewać się bowiem trzeba, że w tem dostojnem towarzystwie nie zabraknie nawet małp, gdyż trudne to „emploi" mogą z powodzeniem wykonać niektórzy polacy łódzcy.

Rolę clowna z powodzeniem odgrywa w Radomiu p. Klemens Podwysocki, godny towarzysz p. Szczerbowicza—Wieczora. Obaj ci mężowie za wpływem ducha czasu wybrakowani z piśmiennictwa polskiego, znaleźli przytułek w dzienniczkach prowincyonalnych i szczerzą zęby—nie, zębów nie mają, ale wysuwają języki postępowi, wiedzy itp. nowotworom, bez znajomości których panowie ci wiek swój przeżyli a nawet do pewnego uznania doszli. „Postęp wsteczny (?) i moralność na egoizmie oparta, a raczej sumienie bez Boga—coraz szerzej rozpiera się pocżyna między prostaczkami" woła wieszcz, który nie rozumie nawet, że powiedział niedorzeczność. Gdyby p. Podwysocki lepiej znał język polski i przeczytał chociaż jedno dziełko tych bezbożnych naturalistów, których wyklina, wiedziałby, że wyraz postęp oznacza pojęcie wręcz przeciwne wsteczności, że więc nie może być „wstecznego postępu" jak nie może być czarnej białości. Nawet wyrozumiała dla dziwolągów logicznych poezya takich wyrażeń kapłanom swoim nie pozwala. Podobnie nierozsądnych wybryków i wierzgań w pustą przestrzeń pełne są szpalty *Gazety radomskiej*, widocznie wyranżerowany wierzchowiec muz pragnie w ten sposób zaświadczyć swoją żywotność. Bo jakkolwiek p. K. P. rzadko podpisuje się całem nazwiskiem, z łatwością poznajemy tego... lwa naszej poezyi. Dodać należy, że cały ten frazes o postępie wstecznym nie wiąże się bynajmniej z dalszym ciągiem artykuliku, w którym jest mowa o podpaleniu przez zemstę zabudowań należących do wójta. Owszem, podpalacz chodził do spowiedzi i wyznał zbrodnię swą przed księdzem. Gdzież tu więc wpływ postępu i jaka racya do wskazywania potrzeby hamulca—„wiary gorącej, zatamowanej już i zwichniętej

nawet w prostaczkach.“ Hamulec ten przecie istniał, prostaczek do spowiedzi chodził, co nie przeszkodziło mu wcale podpalić przez zemstę.

W ten sposób *Gazeta radomska* zaprowadza „korzystne zmiany“ i „ożywia się,“ chociaż straciła wszystkich prawie korespondentów, podtrzymujących dawniej organ miejscowy. Pismo prowincyonalne bez korespondencyi nie ma żadnej prawie wartości, czują to redakcye i skarżą się na lenistwo współpracowników. Zdaje mi się, że nie lenistwo jest główną przyczyną: i *Echo łomżyńskie* i *Gazeta radomska* w pierwszym roku swego istnienia posiadały dobrych korespondentów, co świadczy, że jeżeli pismo podejmuje sprawy żywotne, jeżeli stoi na gruncie postępowym i nie krępuje się względami parafialnymi, potrafi przyciągnąć do wspólnej pracy zastęp sił chętnych i młodych. Z tem zastrzeżeniem tylko zgodzić się możemy z uwagami *Korespondenta płockiego*, który skarżąc się na obojętność prowincyi podkreśla ciekawy bardzo objaw. Obywatele ziemscy, księża, adwokaci, lekarze, słowem cała inteligencya miejscowa milczy i tłomaczy się tem, że nie ma o czem pisać, gdy tymczasem *Zorza* i *Gazeta świąteczna* nie mają miejsca dla drukowania tych wszystkich korespondencyj, jakie im nadsyłają włościanie. Okazuje się więc, że chłopa bardziej interesują sprawy publiczne, że lepiej rozumie on doniosłość prasy, aniżeli starsi jego bracia i opiekunowie.

Rzeczywiście włościanie piśmienni coraz częściej zaczynają pisać „do gazet,“ widocznie masa ta czuje, że nie w powiedziała swego słowa i że czas nadchodzi, kiedy słowo to należy już wygłosić. Chłopi piszą już nie tylko o swoich wiejskich sprawach. Oto np. *Warszawski Dniewnik* donosi, że otrzymał list z podpisem „chłop polski.“ Wzmiankę o liście tym zamieszczamy bez uwag, nie wdając się w rozbiór jego treści:

„Chłop polski powstaje przeciwko uwadze naszej, że gazety miejscowe, przeznaczone dla prostego ludu, nie krzewią w tym ludzie uczuć wdzięczności dla ś. p. Cesarza Aleksandra II za ukaz z d. 19 lutego 1864 r. i że nie przyczyniają się tym sposobem do wzmocnienia uczuć wiernopoddańczych dla Cesarza Aleksandra III. Cóż mówi na to *chłop?* Mówi on, że gdyby gazety polskie zaczęły takie rzeczy pisać, to nie czytałby ich ani jeden porządny i rozsądny człowiek.“ *Dniewnik* zbija to nieuzasadnione twierdzenie całym szeregiem argumentów, jak np. wzrost uczących się w szkołach rządowych, wzrost ofiar włościańskich na takie szkoły, chętne przyjęcie projektu wzniesienia pomnika Cesarzowi Aleksandrowi II itp.

Jak wiadomo, prawo propinacyi uległo w t. z. guberniach zachodnich pewnym ograniczeniom, mianowicie nowa ustawa pozwala otwierać szynki tylko za zezwoleniem komitetów powiatowych, złożonych z przedstawicieli władzy i obywateli miejscowych. Przepis ten ma na celu (nie badamy go czy go osiągnie) zmniejszenie pijaństwa. Ponieważ trzeźwa szlachta uznała się oddawna na opilstwo chłopów, zdawać by się powinno, że dopóki praktyka nie wykaże słabej strony przepisów, popierać będzie wszelkie usiłowania, dążące do zaprowadzenia wstrzemięźliwości. Przeciwnie, zmniejszenie pijaństwa swoją drogą a propinacya swoją. „Monopol ten stanowił od wieków nieodzowną część tutejszych posiadłości ziemskich“—woła korespondent *Gazety polskiej.* Zakaz otwierania szynków „jest przeciwny niezaprzeczonym przywilejom wedle kardynalnych ustaw dla tutejszych prowincyj.“ Ktoś, nie wiedzący o co rzecz idzie, myślałby, że bronimy tak energicznie skarbca wolności obywatelskich, a tu tymczasem chodzi tylko o prawo sprzedaży wódki. W obronie jego „południowo-zachodni“ rycerz wydobywa nawet ten zardzewiały oręż „kardynalnych ustaw,“ jakim w dzisiejszych czasach wymachują jeszcze „dzielni szermierze“ poznańskiego niedołęstwa. Widocznie, to już nie bagatela, to walka o „ostatni posterunek, jaki nam pozostał..“ w szynku (dobrze jeszcze, że nie pod ławą). Chociaż nie wierzę w zwycięzką obronę Termopilów propinacyjnych, podziwiam męstwo „południowo-zachodnich“ spartanów.

I długo płakać będziem tej ofiary
Wielkiego serca i—*rozbitej czary.*

J. Nieborski.

PROCES POLITYCZNY

(według *Prawitiel. Wiestnika*).

I.

W roku 1878 dostrzeżono w kraju Nadwiślańskim pierwsze pokuszenia propagandy socyalistyczno-rewolucyjnej pomiędzy tamecznymi robotnikami. Nieustanne stosunki kierowników ruchu z ludźmi, podzielającymi ich zamysły w Galicyi austryackiej, utrudniały skuteczność środków, przedsiębranych przez rząd dla wykorzenienia złego. Pomimo aresztowania wielu osób, stojących na czele uorganizowanych kółek tajnych, zbrodnicza propaganda wznowiła się w roku 1879 szczególniej w fabrykach, a w dalszym rozwoju swoim kółka tajne od roku 1880 zmierzały do utworzenia pomiędzy sobą obowiązkowych stosunków, oraz utworzenia swoich przedstawicieli czegoś w rodzaju organizacyi centralnej. Jako cel zawiązanego w ten sposób stowarzyszenia postanowione było odrodzenie Polski na zasadach socyalizmu, przyczem tworzono federacyę odrębnych gmin, złożonych z korporacyj robotniczych, które władać miały wszystkiemi fabrykami, zakładami przemysłowymi i gruntami.

W tym celu, tak w Warszawie, jak w innych głównych miastach rosyjskich ze znaczną liczbą zamieszkujących tam polaków, potworzono tak zwane gminy socyalistyczno-rewolucyjne. Każda gmina wybierała sobie kierownika, urządzała przygotowawcze kółka robotnicze i posyłała delegatów do „robotniczej rady ochrończej“ przesiadującej w Warszawie. Sąd specyalny miał rozstrząsać spory pomiędzy robotnikami i chlebodawcami, oraz wydawać decyzye w formie ostrzeżeń, a nawet wyroków śmierci.

Wkrótce jednak, z powodu ujęcia głównych agitatorów, rozprysła się organizacya gmin, a z resztek powstała pewna liczba kółek, które wyłoniły z pomiędzy siebie kierowniczą grupę rewolucyjną, a ta przy współdziałaniu przedstawicieli kółek, który składali tak zwany „komitet robotniczy,“ założyła fundamenta stowarzyszenia socyalistyczno-rewolucyjnego „Proletaryat.“

Wskutek śledztw przedstępnych i badań prowadzonych co do zbrodniczej działalności tego stowarzyszenia, pociągnięto do odpowiedzialności jako obwinionych około 200 osób, z pomiędzy których 29-ciu, jako najwinniejszych, na zasadzie artykułu 31 prawa o obronie porządku państwowego i spokojności publicznej, oddano pod sąd wojenny, dla wydania wyroku według przepisów stanu wojennego; pozostałych zaś obwinionych ukarano w drodze administracyjnej, według przepisu art. 1,035 ustaw sądowych Cesarza Aleksandra II.

Po rozpatrzeniu wszystkich okoliczności sprawy, wyjaśnionych przez śledztwo sądowe i w rozprawach ostatecznych, sąd wojenny uznał: *Po pierwsze,* że w końcu roku 1882 i na początku 1883, w granicach kraju Nadwiślańskiego było utworzone stowarzyszenie, zowiące się „socyalistyczno-rewolucyjnem stronnictwem Proletaryat,“ którego celem było gwałtowne zwalenie istniejącego porządku państwowego, oraz ustroju społecznego i ekonomicznego w Rosyi. Przytem stowarzyszenie owo dla tem łatwiejszego osiągnięcia wspomnianych celów: 1-o używało propagandy ustnej i pisanej, organizując w ogniskach fabrycznych kraju Nadwiślańskiego kółka robotnicze i schadzki, na których wygłaszano mowy, podżegające do otwartego nieposłuszeństwa względem Władzy Najwyższej, rozdawano i objaśniano drukowane proklamacye, broszury i wogóle pisma tej treści, tak odbijane w tajnych drukarniach w Rosyi, jak i przemycanie z zagranicy; 2-o miało drukarnię tajną do ogłaszania swoich utworów treści powyżej wspomnianej; 3 o wydawało czasopismo peryodyczne *Proletaryat* takiejże samej osnowy; 4-o urządziło lokal spiskowy i skład wydawnictw socyalistyczno-rewolucyjnych, pisanych, hektografowanych i drukowanych; 5-o utworzyło kasę oraz peryodyczny pobór składek i wydatków pieniężnych; 6-o mając do rozporządzenia rewolwery, kindżały, a w ich liczbie i zatrute, tudzież kastety i trucizny, a wychodząc z założenia, że teroryzm jest środkiem najskuteczniejszym dla osiągnięcia pożądanych celów, działając za pośrednictwem komitetu centralnego jako swojego reprezentanta, skazywało na śmierć podejrzanych o zdradę względem niego, a także przedstawicieli władzy, i w tym właśnie celu wydawało wyroki, drukowało je, wyciskało na nich pieczęcie specyalne, tudzież wykonywało owe wyroki, owocem czego był cały szereg mordów i zamachów morderczych. *Powtóre,* że wspomniane stowarzyszenie, zmierzając do zbrodniczych celów i dla osiągnięcia ich uciekając się do odpowiednich środków, było w zupełności solidarne ze stronnictwem rewolucyjnem, przywłaszczającem sobie nazwę „Narodnej Woli,“ przyczem dla tem skuteczniejszego działania, oraz pod warunkiem wzajemnej pomocy w ludziach, środkach i korzystnych wiadomościach, w roku 1883 zawiązało porozumienie przez pośrednictwo „komitetu wykonawczego,“ jako reprezentanta „Narodnej Woli,“ z komitetem centralnym, jako reprezentantem stowarzyszenia „Proletaryat,“ które to porozumienie określono w osobnym dokumencie pisanym, według którego między innemi jeden z członków stowarzyszenia „Proletaryat“ pełnił obowiązki delegata stronnictwa „Narodnej Woli.“

Szczegółowo z liczby osób uznanych przez sąd wojenny za winnych należenia do wyżej wspomnianego stowarzyszenia rewolucyjnego, szlachcic Stanisław Kunicki (lat 24), ukrywający się w mieszkaniu b. sędziego pokoju m. Warszawy Bardowskiego, okazał się najruchliwszym kierownikiem stronnictwa. Będąc jednocześnie agentem komitetu wykonawczego stowarzyszenia „Narodnej Woli,“ Kunicki na schadzkach swoich współwyznawców wygłaszał mowy o konieczności carobójstwa i zwalenia rządu, jeździł w celach występnej organizacyi do różnych miejsc Cesarstwa i za granicę, gdzie założył dziennik rewolucyjny *Walka klas,* utworzył tak nazwany „oddział bojowy,“ oraz był inicyatorem wszystkich morderstw spełnianych i zamierzanych przez stowarzyszenie „Proletaryat;“ między innymi wyroki śmierci komitetu centralnego na Helszera i Skrzypczyńskiego nietylko były przez Kunickiego ułożone, w mieszkaniu Bardowskiego, i przekazane do wykonania ludziom, którzy ku temu byli powołani, lecz nadto Kunicki nalegał i śledził za pośrednictwem osób specyalnie upełnomocnionych, aby owe wyroki były ściśle wykonane.

(D. n.).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Krwawy deszcz. W dniu 6 stycznia we wsi Stobiecku koło Nowo Radomska, pod wieczór zerwał się silny wiatr ze śnieżycą. Na drugi dzień nastąpiła odwilż, sadzawkę zaś i kilkadziesiąt łokci kwadratowych ziemi naokoło pokryła czerwonawa masa śniegu i takiegoż koloru płyn. W podobnych razach różni badacze znajdowali wodorosty (Haematococcus pluvialis-Rostafiński). W danym płynie, zebranym z lodu sadzawki przez mag. far. p. Soczołowskiego, który przysłał go do Redakcyi *Wszechświata,* znaleźliśmy prócz wodorostów podobnych do *Haemat. pluvialis* inne o czerwonawo odbijającej i brunatnej otoczce, jak również strzępy włókien roślinnego pochodzenia zabarwione różowo, tegoż odcienia, jaki posiada przysłany płyn. W tym więc wypadku czerwony kolor nadają nie wo-

dorosty lecz inne jakieś roślinne szczątki, być może zdaleka przyniesione przez trąbę powietrzną.

W ostatnich dniach redakcya *Wszechświata* otrzymała również wiadomość o podobnych zjawiskach w różnych miejscowościach Włoch, które zaszły około tegoż czasu. Dotąd nieznane są wyniki badań z tamtych stron, a więc trudno wnioskować o genetycznym związku wszystkich tych zjawisk.

Dr. O. Bujwid.

Kasa pomocy adwokatów przysięgłych w Warszawie została zatwierdzona przez władzę. Uczestnikami mogą być adwokaci przysięgli i ci pomocnicy, którzy posiadają przynajmniej dwuletnią praktykę. Wpisowe wynosi 6 rs. składka zaś 1 rs. 50 kop. miesięcznie. Przyjęcie kandydata zależy od zarządu, który ma również prawo wykreślić uczestnika za czyn przeciwny godności zawodu. Kasa udzielać będzie zapomogi swym członkom lub też wsparcia wdowom i dzieciom uczestników.

Odczyty. Zarząd kasy imienia Mianowskiego otrzymał zezwolenie władzy na urządzenie w Warszawie szeregu odczytów, z których dochód przeznaczony będzie na zasilenie funduszów tej instytucyi.

Prasa polska. We Lwowie od 1 kwietnia wychodzić zacznie tygodnik p. t. *Kwiaty powieściowe* (?).

Bibliografia. J. Kirszrot—Prawnicki—*Kredyt włościański,* Warszawa.

Regulacya handlu. P. policmajster warszawski rozkazał zamknąć wszystkie sklepy, prowadzące t. z. wyprzedaż „po cenach niżej kosztu." Na przyszłość zaś dla urządzenia wyprzedaży potrzeba będzie zezwolenia policyi.

Kary dla małoletnich będą znacznie złagodzone, gdyż dla dzieci od 10 do 14 lat wszystkie, a dla 14--17 letnich—zesłanie, więzienie itp. rodzaje kary zamienione będą oddaniem do zakładów poprawczo-wychowawczych. Małoletni nie będą podlegali ani pozbawieniu praw, ani oddaniu pod dozór policyjny, w więzieniach zaś umieszczać ich należy oddzielnie od dorosłych.

Odkrycie archeologiczne. W głębi Chin, w prowincyi Shanghai znaleziono bogaty zbiór monet rzymskich z czasów Tyberyusza, Nerona, Trajana, Adriana, Galienusa, Aureliana i innych cesarzów, co dowodzi, że w trzech pierwszych wiekach naszej ery istniały stosunki handlowe między Chinami i narodami, wchodzącymi w skład monarchii rzymskiej.

Kursa żeńskie medyczne w Petersburgu będą zamknięte w r. b., jeżeli instytucya jaka nie weźmie ich pod swoją opiekę. Duma petersburska ma podobno zamiar okazać kursom pomoc, brak jednak funduszów na budowę domu. Otóż prasa miejscowa proponuje zjednoczenie kursów lekarskich z t. z. wyższymi kursami bestużewskimi, które posiadają dom własny, dosyć obszerny. Połączenie takie zmniejszyło by koszta utrzymania. Idzie więc o trochę energii i dobrej woli, których jednak nie widać dotychczas, bo w ciągu lat kilku, kiedy ministeryum wojny oświadczyło, że dalej kursów lekarskich utrzymywać nie będzie, można było nietylko potrzebną sumę zebrać, ale nawet dom i kliniki wybudować.

Towarzystwo geograficzne powstaje w Krakowie, ale zamiast zająć się przedewszystkiem poznaniem własnego kraju, rozpoczyna działalność swoją od Afryki.

Akcyza. Dochód rządu z akcyzy od wódki wynosi we Francyi 237 $\frac{1}{2}$ milionów fr. czyli 6 $\frac{1}{2}$ franka na głowę, w Anglii 15 mil. f. szt.—na głowę 0,41 f. szt. w Rosyi 250 mil. rubli czyli 3 rs. na głowę. W Stanach Zjednoczonych 74,000,000 dolar. w Belgii 27 mil. fr. itd. Konsumcya czystego spirytusu na głowę wynosi we Francyi 5 litrów, w Anglii 3. w Stanach Zjednoczonych 5 $\frac{1}{2}$, w Belgii 5 $\frac{3}{4}$, w Niderlandach 5—6, w Szwecyi 4—5, w Rosyi zaś 7 $\frac{1}{2}$ litrów.

Doktór praw—katem. Znany w Galicyi adwokat dr. Czapka mieszka obecnie w Chicago, gdzie ożenił się z córką kata i za protekcyą teścia otrzymał po nim posadę.

Nowa kozaczyzna. W granicach Persyi istnieją kozackie osady, złożone z wychodźców rosyjskich i urządzone zupełnie na sposób dawnych „koszów." Obecnie ataman tych kozaków Aszynow z kilkuset towarzyszami udał się do Abisynii i ofiarował swe usługi „negusowi" Janowi.

Granica celna. *Now. Wremia* donosi, że do Petersburga przybyła deputacya kupców i przemysłowców moskiewskich, która zamierza prosić rząd o obronę produkcyi rosyjskiej od współzawodnictwa Królestwa. Deputacya w prośbie swej wznawia porzucony projekt ustanowienia wewnętrznej granicy celnej.

Zmarli. Adam Dzwonkowski, czynny niegdyś wydawca w Warszawie.

— M. Oliphant, znana autorka angielska.

OFIARY.

Dla polaków wydalonych z Prus. Dr. K. Pożerski rs. 10.

Dla studentów uniwersytetu warszawskiego. W. Wysocki rs. 2 kop. 50.

Dla studentek polek w Petersburgu. W. C. rs. 2.

Do rozporządzenia redakcyi. E. Janowski z Charysówki kop. 50, U. D. N. rs. 20.

Dla pogorzelców Grodna. Z. i L. z Niemirowa rs. 1.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Января 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.